Wspomnienia Wielkopolskie.

LUDWIK KONDRATOWICZ
(Władysław Syrokomla)

Podróż swojaka po swojszczyźnie

Z rękopisu ogłosił
WŁADYSŁAW KOROTYŃSKI

WARSZAWA
Wydanie Warszawskiej Spółki Nakładowej
1914

Printed in Poland

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza.

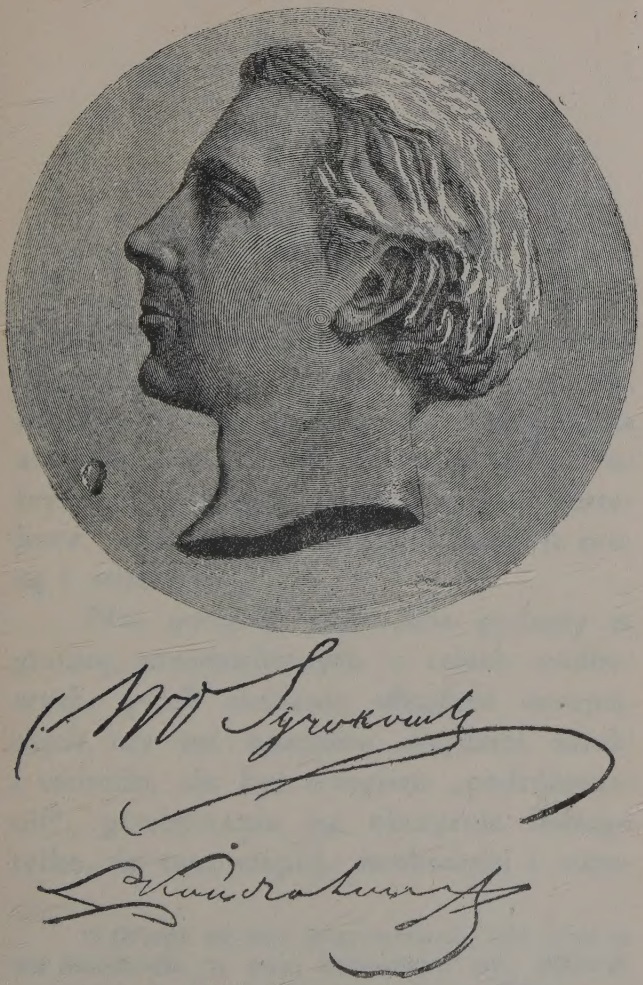

(Płaskorzeźba Jana Ostrowskiego z r. 1858).

PRZEDMOWA.

Ludwik Franciszek Władysław Kondratowicz herbu Syrokomla, przez całe, krótkie zresztą, życie*), nie wychylił się ani razu poza rubieże dawnej Polski. Poczytywał za grzech wobec ojczyzny bezcelowe snucie się po świecie i karcił je prozą i wierszem.

Nie potępiał oczywiście podróży za granicę, przedsiębranych w celach naukowych, gwoli zbadaniu urządzeń europejskich, czy też poznaniu arcydzieł sztuki i techniki, ale był wrogiem „podróżomanji“, przebywania na obczyźnie dlatego tylko, że tam cieplej, swobodniej i wese-

*) Urodził się dnia 29-go września 1823 roku we wsi Smolhowie, w pow. Bobrujskim gub. Mińskiej, zmarł dnia 15-go września 1862 roku w Wilnie.

lej; oburzał się na tuczenie groszem polskim cudzoziemców, kiedy rodakom w kraju doskwierała nędza; nawet chorych zachęcał (przed 60-iu laty!), by wpierw wypróbowali własności wód krajowych: druskienickich, birsztańskich, ciechocińskich, nim udadzą się leczyć za granicę.

Przestrogi poety-obywatela były tem potrzebniejsze, że po wojnie krymskiej otrzymanie pozwolenia na wyjazd za granicę stało się łatwiejszem i podróże weszły poniekąd w modę. Wędrowano, jeśli nie do Paryża i Rzymu, to przynajmniej do Wiednia lub Berlina, a chociażby do Wrocławia i Torunia, gdzie zamożniejsze domy polskie, z ujmą przemysłu swojskiego, zaopatrywały się stale u niemców w odzież, bieliznę, srebra, szkła i porcelanę. Panoszyły się podówczas w literaturze naszej opisy dalekich podróży Teodora Tripplina i innych, mniej lub więcej zmyślone, klecone przy pomocy książek francuskich i angielskich, częstokroć nawet bez oglądania opisywanych krajów.

Jako prawy polak, Kondratowicz miał sobie za obowiązek poznać przedewszystkiem ojczyznę. Poznał też ją prawie całą, i poznał dokładnie.

*

Z dzieciństwa Syrokomla uniósł obraz nieprzebytych trzęsawisk, ciemnych lasów i żółtych piasków Polesia, odbity w smutnej „sielance bojowej" — „Ułasie". Jako pacholę, spoglądał na stolicę Radziwiłłów— Nieśwież i na kolebkę Mickiewicza —Nowogródek, gdzie szkoły średnie ukończył. Młodzianem, zaciągnąwszy się na służbę biurową do Nieświeża, zwiedził zamek, kościoły i ratusz od strychu do podziemi. Na widok poniewieranych tam pamiątek świetnej przeszłości, rozgorzał miłością ku niej i — dla zrozumienia jej — sięgnął do archiwów miejscowych. Owocem tych badań była *pierwsza* praca literacka Syrokomli — opis historyczny Nieświeża, posłany Michałowi Balińskiemu do Wilna i włączony przezeń do „Starożytnej Polski".

Osiadłszy w roku 1844 na dzierżawie w Załuczu, nad „siwym i płowym" Niemnem, w kraju „pagórków leśnych", w kraju „łąk zielonych", w pobliżu Mira, ongi stolicy hrabiów Illiniczów, zaznajomił się wkrótce z dworami i zaściankami okolicznemi od Szczors do Otmyta, od Połoneczki do Zubków.

Wiodąc w Załuczu cichy a pracowity żywot ziemianina-poety, kiedy niekiedy wymykał się do Mińska, gdzie istniała najbliższa księgarnia, lub jeszcze dalej — do Wilna, gdzie były i księgarnie, i redakcje, i gdzie mieszkali światli doradcy jego w pracach historyczno-opisowych: Mikołaj Malinowski i Adam Kirkor. W roku 1849 zajechał aż na Wołyń, w towarzystwie księgarza petersburskiego, Maurycego Bolesława Wolffa, by odwiedzić Józefa Ignacego Kraszewskiego w Hubinie pod Łuckiem.

Straciwszy w ciągu jednego roku troje dziatek, Kondratowicz zohydził sobie Załucze i od ponurych mogiłek uciekł w ro-

ku 1853 do Wilna. Po kilku atoli miesiącach, nie mogąc pracować w zgiełku miejskim, schronił się znowu na wieś: wydzierżawił o dwie mile od Wilna folwarczek Borejkowszczyznę. Wybór był nieszczęśliwy, albowiem „nowa sadziba“ nie posiadała ani rzeki, ani lasu, a co najgorsza — stary, zbutwiały dworek zionął wilgocią, zabójczą dla poety o wątłem od urodzenia zdrowiu.

Syrokomla tem chętniej czynił stamtąd wycieczki w powabniejsze strony: do Trok, Miednik, Oszmiany, Lidy, do Puń, odmalowanych w „Margierze“, do Grodna i Kowna, a kiedy zdrowie coraz bardziej podupadało — do Druskienik i Birsztan.

*

W roku 1856 Kondratowicz wybrał się po raz pierwszy do Warszawy. Jechał bryką prywatną lub pocztową przez Mińsk (skąd pasport otrzymywał), Słuck i Brześć Litewski. W stolicy Królestwa spędził mie-

siąc bez mała. Warszawa olśniła jego oczy, ale do serca nie przypadła. Za powrotem pisał do J. I. Kraszewskiego: „Jeśli kiedy będę miał wiele czasu i pieniędzy, będę jeździł *bawić się* do Warszawy, ale *żyć* zawsze wrócę do Wilna. Jużci, życie towarzyskie, literackie, przemysłowe silniej w Warszawie kipi, ale głębi tego, co stanowi życie prawdziwe, niema... Nie dla mnie, dziecka spokoju, ten gwar i te roztargnienia!"

Mimo to, w roku następnym pojechał znowu do Warszawy, jak zwykle, traktem pocztowym, a z niej, już koleją żelazną—do Częstochowy. Podziwiał świątynię jasnogórską w gronie pątników litewskich, podolskich i ukraińskich, jednocześnie bowiem przyjechali tam: Gabrjela ks. Puzynina, Antoni Edward Odyniec, Aleksander Groza, Fryderyk Krauze i Lucjan Wojniłłowicz, wszyscy mniej lub więcej znani w literaturze.

Na wyjezdnem z Częstochowy (dnia 8-go lipca 1857 roku) Kondratowicz pisał

do Ignacego Chodźki: „Żal, że cię niema! Miałbyś rzewny *litewski* obrazek. Ale sercem jesteśmy przy ziomkach, żyjemy ich obrazem".

Wtedy również oglądał malownicze okolice Iłży i Miechowa i gościł w Niedarczowie.

Powracał na Litwę przez Warszawę, Pułtusk, Ostrołękę, Łomżę, Suwałki, Marjampol i Kowno. U rogatek wileńskich stanął dnia 21-go lipca.

*

Znając już Litwę i Koronę, Kondratowicz w roku następnym postanowił zwiedzić Wielkopolskę i Małopolskę. Co osobliwsza, zamyślał nawet o podróży do Włoch. Namawiał go do niej Jan Chęciński, poeta i artysta dramatyczny, wybierający się do Rzymu w towarzystwie obywatela ziemskiego, Mikołaja Wisłockiego, zbieracza i znawcy sztuk pięknych. Projekt wspólnej podróży niezmiernie podobał się Syrokomli, pragnącemu wtedy

znaleźć się jak najdalej od Wilna — bodajby na Islandji.

Była to bowiem pora nieszczęsnej miłości poety ku Helenie z Majewskich Kirkorowej. Ona — kobieta nietylko urodziwa, ale niepospolitego umysłu i hartu woli, będąc aktorką z zawodu i powołania, traktowała tę miłość, jak przelotne wrażenie, jak chlubę wobec świata, jak szczebel w karjerze artystycznej. Syrokomla zaś ukochał ją całą duszą, całą siłą długo uśpionego uczucia. Nastąpiło, co nastąpić musiało. Pękła „bańka tęczowych złudzeń", roniąc smutek, wyrzuty sumienia, obmowiska. Kirkorowa opuściła męża i Wilno, powróciła na scenę krakowską, gdzie znalazła rój wielbicieli. Syrokomla zaś dusił się w Wilnie, pragnął wyrwać się z niego, uciec od świętoszków i dewotek, od lichwiarzy i księgarzy, od tak zw. przyjaciół, którzy chorego poetę zniewalali do kielicha i pieśni, a za oczy czernili.

„Umrę tu ze zgryzot — pisał d. 5-go marca 1858 r. do Jana Chęcińskiego. —

Potrzebuję odświeżenia się i moralnego zmartwychwstania. Oderwać się od prac, które mi nie są po sercu, a które dla chleba rzemieślniczyć muszę; odetchnąć waszem towarzystwem; posiedzieć w Krakowie, dla którego zawsze miałem cześć religijną, a który dla mnie w tej chwili podwójną ma wagę; zwiedzić dalsze strony naszej ziemicy; pojechać do Włoch; rozmarzyć się bohaterskiemi wspomnieniami starej Romy; łzą i modlitwą w świątyni Piotra omyć duszę, aby była szczęśliwsza i lepsza — to moje marzenie, które tem sroższą jest torturą, że możność jego spełnienia coraz bardziej widzę oddalającą się..."

Los uśmiechnął się mu i pozwolił ziścić rojenia chociaż w części. Kosztem wysiłków w pracy i upokorzeń przed wydawcami, Kondratowicz zebrał potrzebny na drogę fundusz i dnia 27-go maja 1858 roku wyruszył na bryce żydowskiej z Wilna do Kowna.

*

Z Warszawy pojechał koleją żelazną na Śląsk, do Wrocławia, a stamtąd — do Poznania, w którym stanął wieczorem 2-go czerwca. Zastał już tam Helenę Kirkorową, przybyłą z Krakowa na występy gościnne w teatrze poznańskim.

Ze stolicy Wielkopolski, w dobranem towarzystwie, odbywał wycieczki do Kórnika, Książa, Miłosławia, Winnogóry, Gniezna, Trzemeszna, aż oparł się u stóp Myszej wieży nad Gopłem.

Podróż oddziałała nań znakomicie. Na wyjezdnem z Wielkopolski, dnia 8-go lipca, pisał do Aleksandra Niewiarowskiego: „Wyjechałem z Wilna z grożącą nerwową niemocą, od której chciałem się leczyć kąpielami morskiemi. Jeszczem morza nie widział, a już zdrów jestem, jak ryba".

Tą samą drogą: przez Poznań i Wrocław, podążył następnie do Małopolski, zwiedził Kraków i podgórze tatrzańskie.

Co go do tej podróży popchnęło i co z niej wyniósł, Syrokomla wyjawił w toa-

ście, wzniesionym na uczcie w Piotrkowie:

...Śpiewałem naprzód moją Litwę drogą,
Jej pola, wioski, jej lud uznojony,
Jej ciche dworki, kościołki, cmentarze,
Jej uroczyste i powszednie chwile;
Chciałem się wpatrzyć w jej praojców [twarze,
Wsłuchać się w serca, co już śpią w mogile.
Co oko zajrzy, co ucho podsłucha,
Brałem do serca: widoki i dźwięki;
Potem z krwią serca, z ogniem mego ducha
Rzucałem na świat w postaci piosenki.
Bóg ją przeżegnał, Litwa wysłuchała...
Ale, ziomkowie! zasługa w tem mała,
Bo nasza ziemia nie w Litwie się kończy.
Nasza rodzina przy Dniestrze, przy [Wiśle,
Gdzie płynie Warta, gdzie Karpaty dymią...
Więc całą ziemię pragnąc poznać ściśle,
Wziąłem kij w rękę i sakwę pielgrzymią
I, jak ów żebrak, co z wioski do wioski
Idzie o kiju za chleba kawałem —
Tak ja, zwiedzając nasz kraj pradziadowski,

Swięty chleb ducha do mej piersi brałem.
Bo ziemia nasza piękna, pamiątkowa,
Jak może nie jest żadna ziemia świata.
Tysiące skarbów w swojem łonie chowa,
Tysiące wspomnień nad jej czołem lata.
W każdym kamyku, w każdej garści piasku,
W każdej cegiełce rozwalin i zgliszczy
Pełno świętego przeszłości odblasku —
Jak w małej kropli całe słońce błyszczy.
Jadłem gościnny chleb z wielkopolany
I piłem wodę goplańską w Kruszwicy;
Słuchałem, łzami rzewnemi zalany,
Jak w Gnieźnie pieją pieśń „Bogarodzicy".
Zwiedziłem mury starego Wawelu,
By się pokłonić świętym prochom króli;
Byłem, gdzie kraju kolebkę zasnuli
Władcy ziem wielu i plemion tak wielu.
Z wysokich Tatrów wytężyłem oko,
Gdzie nasza cała kraina zalega,
Ale jej przestrzeń nadto jest szeroką:
Końca nie widać od brzega do brzega...
Przetom ją skupił całą w moje łono:
Czem jest w tej chwili, czem była przed laty...

Z mojej pielgrzymki powracam bogaty,
Bo skarbem wspomnień mam pierś [wzbogaconą...

*

Dalszą podróż przerwała otrzymana z Borejkowszczyzny wiadomość o ciężkiej chorobie ojca. Dnia 24-go sierpnia Syrokomla był z powrotem w Warszawie, śpiesząc do Wilna.

Los zemścił się na nim za chwile radości i wytchnienia: zacnego starca nie zastał już przy życiu, a niebawem nadszedł z Krakowa list od Heleny Kirkorowej, nie pozostawiający wątpliwości, że „tęcza niebieska" znikła z widnokręgu lirnika...

O podróży do Włoch nie było już mowy. Nastąpiło surowe „Przebudzenie..."

Nie umiemy nawet wyobrazić sobie śpiewaka „Gawęd i rymów ulotnych" na zwaliskach Collosseum. On przecie już nad Wisłą i Wartą tęsknił po swoim Niemnie.

*

Przez dwa lata następne Kondratowicz nie wychylał się poza obrąb Litwy —

dogorywał. Dopiero na wieść o pięciu poległych, wstrząsnął się i zerwał do czynu. W pierwszych dniach kwietnia 1861 roku, pośpieszył, za cudzym pasportem, do Warszawy, by wziąć udział w wydarzeniach dziejowych.

Po drodze, w Kownie, Suwałkach, Łomży, wypowiadał płomienne mowy, uczestniczył w nabożeństwach żałobnych. Do Warszawy przybył w towarzystwie poety białoruskiego, Wincentego Dunin-Marcinkiewicza, ale przybył tak chory i wyczerpany, że lekarze kazali mu wnet wracać do domu i do łóżka.

I ta podróż zakończyła się smutnie. W Suwałkach aresztowano Syrokomlę i odwieziono do cytadeli wileńskiej. Groziła mu daleka, bezpłatna podróż na Wschód. Dzięki jednak wyrozumiałości owczesnego wielkorządcy litewskiego, jenerała Nazimowa, więzienie krótko trwało, a nim śledztwo dobiegło do końca — poeta już nie żył.

Udając się na wiekuisty spoczynek,

jeszcze ogarniał pamięcią oglądane dzielnice i konającemi usty dyktował:

Czujny grajek przy lutence,
Z czeczotkowym kijem w ręce,
Od komina do komina
Swą wędrówkę rozpoczyna.
Czy w karpacki szczyt Łomnicy,
Czy w podolski łan pszenicy...
Czy w kijowskiej starej ławrze
Ze świętymi w grób się zawrze...
Czy u Gopła stojąc toni,
Po Kujawach okiem goni...
Myślą goni jeszcze dalej...

*

Kondratowicz lubił tedy podróżować, ale bynajmniej nie koleją żelazną, tylko końmi, mniejsza o to, w co wprzągniętemi: czy w powóz pański, czy w brykę żydowską, czy w wózek chłopski.

Jedynie tak jadąc, mógł dowolnie przystawać i zbaczać z drogi, by obejrzeć, opisać, odrysować zabytki „świętej przeszłości", by w dworku szlacheckim, a bo-

daj w karczmie wiejskiej pogwarzyć swobodnie z „braćmi w kapocie i braćmi w siermiędze". Można też było na bryce, pod szum wiatru i szelest drzew przydrożnych, układać rymy, spisywane po przyjeździe do domu lub gospody. Jeden z niewielu doskonałych przekładów z Béranger'a: „Stary kapral" — ma w autografie datę: „Dnia 24-go września 1852 roku, na noclegu pod Oszmianą". Z większych utworów, za pierwszego pobytu w Warszawie Syrokomla napisał gawędę ludową „Cieśla", w Poznańskim zaś zrodziły się „Szkolne czasy Jana Dęboroga".

A że trwała jeszcze podówczas staroświecka gościnność, a kraj cały znał i mile witał Syrokomlę, więc wędrówka „rzemiennym dyszlem" bywała i pouczająca, i wesoła, i niedroga. Nie powiemy: zdrowa, bo częstokroć przebierano miarę w ugaszczaniu poety, skłaniano do nadmiernych toastów, jak ongi Jana z Czarnolasu, a z drugiej strony — nadużywano jego dobroci i łatwości wierszowania, wyciągając

na improwizacje, wierszyki albumowe i okolicznościowe. Nużyło to oczywiście Kondratowicza, więc niekiedy, ku zgorszeniu snobów, porzucał chyłkiem wyfrakowane towarzystwo, by odpocząć przy starych murach lub pogawędzić z prostakiem.

Dzięki takiemu sposobowi podróżowania, oraz skrzętnemu gromadzeniu wiadomości kronikarskich i archiwalnych, opisy Syrokomli obfitują w szczegóły historyczne, starożytnicze i ludoznawcze, a przytem stanowią jakoby dziennik poety, cząstkę własnego życiorysu. W prozie jego zdarzają się powtarzania, zdarzają się usterki językowe, ale sowicie je okupuje myśl zdrowa, zapał młodzieńczy i mimowoli wyrywająca się z pod pióra poezja.

Pierwszem podróżniczem dziełem Kondratowicza były „Wędrówki po moich niegdyś okolicach" (Wilno, 1853 roku), obejmujące opis Nieświeża, Mira, Stołbców, Świerżnia i t. d. Następnie opracował dla *Teki Wileńskiej* obszerną monografję Mińska Litewskiego (1857 roku).

Z kolei zebrał i uzupełnił drukowane od roku 1855 w *Gazecie Warszawskiej* opisy i wydał w dwu tomach p. n. „Wycieczki po Litwie" — od Trok do Miednik i od Oszmiany do Kowna (Wilno, 1857 — 1860, a właściwie 1859 roku). Wreszcie przebiegł po obu pobrzeżach „Niemen od źródeł do ujścia" (Wilno, 1861, właściwie 1860 roku).

Jeszcze w roku 1853 Syrokomla podjął się był opisać Litwę do zamierzonego przez księgarza M. B. Wolffa dzieła „Polska malownicza". Z wielorakich powodów wydawnictwo do skutku nie przyszło. Wszelako Kondratowicz, jak z powyższego widać, sporą część podjętego zadania, lubo na własną rękę i w inny nieco sposób, wykonał.

*

Podróż po Wielkiem Księstwie Poznańskiem i po Królestwie Galicji Syrokomla zamierzał opiewać wierszem i prozą. Aliści, nurtowany już chorobą, która go

do grobu zawiodła, tylko pierwszą część tych opisów ukończył.

Początek opisu wierszem ukazał się w druku p. t. „Wrażenia pielgrzyma po swojej ziemi“ (Wilno, 1860 roku; w „Poezjach“ z roku 1872 — w tomie VII). Mieści się tam część pierwsza poematu: „Z Litwy do Wielkopolski“.

Opis prozą, oczywiście obszerniejszy i szczegółowszy od rymowanego, był przeznaczony dla *Gazety Codziennej*, wychodzącej wtedy w Warszawie pod redakcją Aleksandra Niewiarowskiego (A. Półkozica). Druk jego zapowiedziała *Gazeta* przez ogłoszenie listu Syrokomli do redaktora (Nr. 185 z roku 1858). Ponowiła zapowiedź, umieszczając wyjątek z poetyckich „Wspomnień gór“ (Nr. 222 z tegoż roku). Wreszcie w Nr. 286 z dnia 28-go października 1858 roku zjawiła się w odcinku *Gazety* „Podróż swojaka po swojszczyźnie — letnia wycieczka po kraju Władysława Syrokomli“.

Po „Słówku przedwstępnem“ mamy

tam rozdział I z taką treścią: „Wyjazd z Wilna. Przystanek w Jewju. Żyżmory. Przygoda pana burmistrza. Rumszyszki. Rapy niemnowe. Opis dawnego Pożajścia. Przybycie do Kowna". Rozdział ten wypełnia odcinki w trzech numerach *Gazety* (286, 287 i 288), a zamykają go zgłoski: *D. c. n.*

Dalszego wszakże ciągu niema ani w *Gazecie Codziennej*, ani w jej następczyni, *Gazecie Polskiej*. Niema go również w „Wycieczkach po Litwie". Na końcu II ich tomu (str. 127 i następne) Syrokomla przedrukował to tylko, co było w *Gazecie Codziennej*, opuściwszy „Słówko przedwstępne" i kilka ustępów.

Wolno więc było mniemać, że dalszy ciąg nie istnieje. Tak też sądził Aleksander Niewiarowski. We wspomnieniu pośmiertnem o Kondratowiczu powiada on: „W roku 1859 (!), gdy byłem jeszcze redaktorem dzisiejszej *Gazety Polskiej*, Syrokomla przyrzekł dostarczyć do odcinka *Gazety* szeregu obrazów z wędrówki

po Galicji i W. Ks. Poznańskiem. Jakoż przysłał mi był kilkaset początkowych wierszy, które, jako składające poniekąd odzielną całość, zamieściłem. Później, okoliczności, stan zdrowia poety, mianowicie zaś niespodziewana śmierć ojca, przeszkodziły mu dokonać tej pracy“ *).

W istocie zaś Syrokomla dalszy ciąg, obejmujący pobyt w Wielkopolsce, napisał, tylko nie ogłosił go ani w *Gazecie Codziennej*, ani gdzieindziej. Dlaczego — dowodnie nie wiemy. Może dlatego, że *Gazetę Codzienną* nabył wtedy Leopold Kronenberg, że Antoni Lesznowski wyrzucał Syrokomli odstępstwo od *Gazety Warszawskiej*, że niebawem odrodził się *Kurjer Wileński*, pod redakcją Adama Kirkora, z którym poeta dobre stosunki utrzymał. Każde z tych pism pragnęło umieszczać utwory Syrokomli, ale każde zastrzegało sobie wyłączność. A może poprostu

---

*) Jana Jaworskiego „Kalendarz astronomiczno-gospodarski“ na rok 1863, str. 144.

odłożył druk wrażeń z Wielkopolski do czasu spisania wrażeń z Małopolski, aby je pospołu ogłosić.

Tak, czy owak, w papierach po Kondratowiczu znalazł się opis pobytu w Poznańskiem, w postaci 40 luźnych kart bez nagłówka i bez jednolitej numeracji, kart różnego kroju i barwy, niekiedy przedartych i często niewiążących się z sobą. Niewątpliwie tych kart było więcej, ale czy to uległy zatracie, czy też tkwią w zbiorach t. zw. „miłośników", wzięte, jako autograf — „na pamiątkę". Rzecz to nader możliwa, bo rękopis podróży, zaraz po zgonie autora, był posyłany J. I. Kraszewskiemu do Warszawy i chodził po różnych rękach.

*

To, co do nas doszło, ogłaszamy w niniejszej książce. Połączyliśmy luźne karty, nie przydając niczego od siebie, okrom zwięzłej treści rozdziałów i kilku nieodzownych odsyłaczów.

Opis Syrokomli poprzedziliśmy jego listem do Niewiarowskiego, jako streszczającym całą podróż. Nadto powtórzyliśmy z *Gazety Codziennej* to, co Syrokomla pominął w „Wycieczkach po Litwie", czyli „Słówko przedwstępne" i część rozdziału I.

Wszystko zaś od rozdziału II aż do końca drukujemy tutaj z autografu.

Brak kartek z opisem Gniezna zastąpiliśmy odpowiednim ułamkiem części II „Wrażeń pielgrzyma" („Poezję" z r. 1872, t. VII, str. 156).

Nadmienimy wreszcie, że lubo Kondratowicz, jako mieszkaniec Litwy, posługiwał się zwykle kalendarzem juljańskim, daty podróży po Wielkopolsce są wszędzie nowego stylu.

*

Opis podróży z roku 1858 uzupełniają oczywiście poezje, podówczas przez Syrokomlę napisane, albo do niej się ściągające.

Takiemi są: wymienione już „Wrażenia pielgrzyma po swojej ziemi“, „Gniezno“ i „Wspomnienia gór“; poemat „Szkolne czasy Jana Dęboroga“, natchniony zwiedzeniem szkół trzemeskich*); ballada „Trzy córki litwina“, której wątek, ze słów Adama Mickiewicza, opowiedział Syrokomli Karol Karśnicki; liryki: „Toast litwina“ w Poznaniu, „Do poległych pod Książem“, toast w Piotrkowie, „Pielgrzym — pielgrzymowi“ (do Władysława Kucewicza) i kilka wierszy albumowych.

Utwory te czytelnik znajdzie bądź w dziesięciotomowych „Poezjach“ z roku 1872, bądź w drukujących się „Niewydanych poezjach“ Ludwika Kondratowicza.

Pierwszą swą pracę, ogłoszoną po powrocie z Wielkopolski, „Szkolne czasy Jana Dęboroga“, Syrokomla poświęcił Sewerynowi hr. Mielżyńskiemu, Karolowi

---

*) Podpisany do druku przez cenzora Pawła Kukolnika w Wilnie dnia 16 (28) czerwca 1858 roku, wydany tamże z datą 1859 roku.

Karśnickiemu, Józefowi Przyborowskiemu, Władysławowi Niegolewskiemu, Kazimierzowi Szulcowi, Antoniemu Białeckiemu i Konstantemu Żupańskiemu — „na pamiątkę chwil, z nimi spędzonych".

Powtarzamy tę dedykację, jako i tutaj im należną.

Wszyscy już, jak i Syrokomla, śpią w mogile...

Władysław Korotyński.

Warszawa, w lutym 1914 r.

LIST
DO ALEKSANDRA NIEWIAROWSKIEGO,
Redaktora „Gazety Codziennej".

Miłosław w Poznańskiem, d. 8 lipca 1858 r.

Od rozstania się z Wami, cztery tygodnie przebawiłem w Poznaniu. Z powodu zjazdu okolicznej szlachty na zebranie Towarzystwa kredytowego (czyli Landszafty) i jarmarku, znalazłem tu mnóstwo osób, pełnych serca i godnych szacunku, dla których miłego towarzystwa nie chciało mi się opuszczać Poznania.

Teatr, który tu z Krakowa na jakiś czas przybył, walne posiedzenie Towarzystwa przyjaciół nauk, na którem chciałem być obecny — to wszystko przewlekło moją wycieczkę z Poznania w głąb tutejszej

prowincji, wycieczkę, o której dawno marzyłem, a do której zacne tutejsze obywatelstwo przyrzekło mi ułatwić środki.

W ciągu pobytu w Poznaniu, wymykałem się na wieś co chwila. Byłem w Objezierzu u państwa Turnów, w miejscu pamiętnem kilkotygodniowym pobytem Mickiewicza i grobem Halszki z Ostroga; byłem w Kórniku, w jedynej dziś może tak bogatej i tak wzorowo urządzonej bibliotece prywatnej w Polsce; byłem w Komornikach, gdzie jest plebanem znany w świecie słowianofil, ks. Malinowski.

Wybrałem się następnie na prowincję, i pierwszą moją stacją była wieś Mystki, gdzie w domu zacnego obywatela, p. Karśnickiego, znalazłem prawdziwie ojcowskie przyjęcie. Razem z zacnym gospodarzem zwiedziłem Giecz, Środę, pamiętną swojemi sejmikami, i Winną Górę, gdzie jest grób jenerała Dąbrowskiego.

Po tygodniowym pobycie w Mystkach, odwieziono mnie do Miłosławia, gdzie dziedzice, hr. Mielżyńscy, zaprosili mię na

kilkodniową gościnę. Z ich domu, w miłej gromadce, zwiedziłem Dębno.

Później ułożyliśmy wycieczkę po Wielkopolsce, na którą przybyło dwóch młodych ludzi z Poznania. Tak więc, w wesołej gromadzie, złożonej z p. Karśnickiego, mojego przeszło tygodniowego gospodarza (który był dowódcą wyprawy, bo ta godność należała mu z wieku i doświadczenia), z ks. Tułodzieckiego, plebana z Miłosławia, z pp. Kazimierza Szulca, Antoniego Szulca, Antoniego Białeckiego i mnie, niżej podpisanego — zaopatrzeni w cygara, papier i ołówki, objechaliśmy w ciągu dni kilku wschodnią, najciekawszą stronę Wielkopolski. Byliśmy we Wrześni, w Gnieźnie, Trzemesznie, Mogilnie, Inowrocławiu, Kruszwicy; zwiedziliśmy ciekawe i nadzwyczaj starożytne tameczne kościoły; poznałem zbliska błogosławione niwy wielkopolskie i częścią kujawskie, piękny tutejszy lud i dzielną szlachtę. Odwiedziłem w Rybitwach znanego w archeologicznym świecie p. Wolańskiego; przejrzałem w zna-

cznej części jego zbiory. Poznałem się z naszym Karolem Libeltem, który mieszka w okolicy Gniezna. Słyszałem w Gnieźnie śpiew „Bogarodzicy". Zdobyłem kilka rzeczy archeologicznych i wiele słodkich wrażeń, któremi się bardzo prędko z czytelnikami *Gazety Codziennej* podzielę.

Parę razy miałem tonąć, to w Gople, to w jeziorze Ludnem*), ale na pociechę, czy udręczenie moich czytelników — ocalałem.

Jestem w tej chwili w Miłosławiu z powrotem. Jutro jadę do Poznania; pojutrze — w dalszą drogę na Wrocław do Krakowa. Nie wątpię, że rozstając się z Poznaniem i jego mieszkańcami, uronię łezkę przyjazną żalu, bo mi tu było bardzo dobrze. Gdzie się obrócę, *Gazeta* Wasza będzie wiedzieć.

---

*) Ani spis rzek i jezior Walerjana Kopernickiego, ani „Słownik geograficzny" Sulimierskiego i Chlebowskiego jeziora tej nazwy nie znają. Jest to zapewne omyłka druku. Powinno być chyba: w jeziorze Lednicy czyli Lednogórskiem, o 2 mile od Gniezna. (*P. W.*)

Bądź zdrów, Redaktorze! Kłaniaj się znajomym, a czytelnikom i pięknym czytelniczkom, którzy i które udają się w tej chwili zagranicę przez Warszawę, oświadcz, że korzystniejby użyli i użyły grosza i czasu, zwiedzając prowincje dawne własnego kraju.

Nie uwierzą może, jak wielkich emocji można doznać na piastowskiem i popielowem Gople; jak można się modlić przy grobie św. Wojciecha, przy pieśni „Bogarodzica"; jak zbawiennie wpływa na zdrowie taka podróż.

Ja sam wyjechałem z Wilna z grożącą nerwową niemocą, od której chciałem się leczyć kąpielami morskiemi. Jeszczem morza nie widział, a już zdrów jestem, jak ryba.

Wł. Syrokomla.

PODRÓŻ SWOJAKA PO SWOJSZCZYŹNIE.

SŁÓWKO PRZEDWSTĘPNE.

Podróż stała się dzisiaj hasłem mody; podróż stała się niejednemu potrzebą ducha, potrzebą zdrowia, potrzebą nauki, potrzebą wrażeń, potrzebą próżniactwa, potrzebą tego wszystkiego potrosze. Pchnięci mniej więcej określoną potrzebą podróżowania, jedziemy wszyscy lub marzymy o podróżach, zazdroszcząc podróżującym.

Jak skoro wiosenne słonko pocznie roztapiać śniegi, już poczynamy układać nasz podróżny tłómoczek, uprzykrzać się władzom o pasporty, przemyśliwać nad środkami zdobycia grosza i rozmarzać się czytaniem podróży.

Podróżujmy zdrowi, dopóki nie spowszedniało rzemiosło pielgrzymów! Jedźmy zwiedzać Wschód i Zachód, nim one do nas koleją żelazną nie przyjadą. Rzucajmy na całe lato nasze sianokosy i żniwa, aż nim francuz, anglik, a nadewszystko niemiec nie przyjadą eksploatować naszych pól i sianożęci, naszych lasów, rud żelaznych i torfowisk i w oczach naszych zbogacać się naszemi bogactwy!

Pędźmy podziwiać piękność wybrzeży Renu, majestatyczność Alp, leczebność wód pirenejskich, nim się dowiemy z albumu i przeglądów *(Revue)* zagranicznych o bogatych pięknościach wybrzeży Niemna, Wilji, Wisły, Warty i Dunajca, o majestacie gór karpackich, o własności wód druskienickich, ciechocińskich, buskich i szczawnickich! Na wszystko przychodzi właściwa kolej: nim nasz kraj stanie się modnym w Europie, jedźmy, jak Dumas, odkrywać morze Śródziemne! Wszak na obejrzenie się wokoło siebie zawsze jest pora.

Ej! niezawsze, kochani czytelnicy! Po-

ra może przeminąć. My jedziemy, aby bezmyślnem okiem podziwiać Zachód, a Zachód wybiera się w podróż po nasze żywotne soki. Kiedy germańczyk zagarnia dochód z twojego morga, kiedy brytańczyk z przed oczu ci porwie twój handel i przemysł, kiedy frank wyda u Lemercier'a i każe ci grubemi pieniędzmi opłacać widok twojej własnej wioski w górach lub rzeki, kiedy nawet twój dobry, poczciwy arendarz Icek odmówi ci kredytu — pomądrzysz, podróżniku polski, ale będzie to mądrość po szkodzie...

Takie złośliwe, rozpaczliwe myśli przychodziły mi do głowy minionej wiosny, ile razy dowiedziałem się lub wyczytałem o kimś z ziomków, że wyjeżdża za granicę. A dla czegom tak przykro marzył? Czy zgadniesz, czytelniku? Ot, po prostu dla tego, że sam nie miałem ani pasportu, ani pieniędzy na podróż, chociam się o to oboje najusilniej starał.

Nie marzyłem o podróżach europejskich lub zamorskich. Pragnąłem poznać

naszą ziemię w jej dawnych granicach, pomodlić się na Wawelu, uczcić groby prymasów w Gnieźnie, napić się goplańskiej wody w Kruszwicy, oczami duszy popatrzeć na szlachtę w Środzie, na trybunał w Piotrkowie, aby później temi obrazami podzielić się z wami, moi dobrzy, pobłażliwi czytelnicy!

Skromne żądanie — a jednak trudno, o! trudno mi było je spełnić... Ułatwiły się jakoś pieniężne i pasportowe przeszkody, przebaczyłem wszystkim podróżującym, co na kilka miesięcy kraj opuszczają, i sam puściłem się w drogę.

Niewielem widział, niewiele mogę wam opowiedzieć o mojej podróży, ale i tę małą garstkę wspomnień, pewien jestem, że przyjmiecie życzliwie, bo to rzeczy własne, bo to podróż swojaka po swojszczyźnie.

Nie wyczerpałem przedmiotu, nie przebiegłem całej, niegdyś polskiej ziemi. Przyjmijcie, co wam daję, a pozwólcie mi się poprawić na rok przyszły.

Borejkowszczyzna pod Wilnem.

Wł. Syrokomla.

I.

DROGA Z WILNA DO KOWNA.

Czwartek, dzień 15 (27) maja 1858 roku, stanowczo oznaczywszy na wyjazd, wstałem wcześnie, bo o godz. 6 zrana. Pożegnałem poczciwą Borejkowszczyznę, lud z jej włości, moich dobrych sąsiadów. Uściskałem rodzinę, wziąłem błogosławieństwo od dobrych rodziców — z których drogiego ojca nie miałem już widzieć na ziemi...

Ułożenie podróżnych tłómoków niedługo trwało. Odzież, bielizna, para książek, pugilares do notat — oto wszystko, co się w malutkim podróżnym tłómoku zawarło.

Jeszcze pożegnalne do koła spojrzenie, jeszcze uścisk — i już jestem na bryce.

Z Wilna trudniej mi było tak się prędko wydostać. Zaczem się wynalazł i ugodził furman do Kowna, zaczem się zaopatrzyło w niektóre rzeczy, potrzebne do podróży, zaczem się pożegnało z tym, to owym — upłynął dzionek boży, nastała noc, a kiedy z przedmieścia Pohulanki, od jednego z łaskawych znajomych, wyjechałem w podróż, była już godzina 11 wieczorem.

Z krzyżykiem błogosławieństwa od kilku dobrych znajomych, ze łzą w oku, wsiadłem do budy żydowskiej, istnej pieczary, zbudowanej z rogoży i płótna, a marząc i o tem, co porzucam, i o tem, dokąd dążę, i krzepiąc się na przyszłe trudy... usnąłem.

Tem lepiej dla was, czytelnicy, bo nie będę wam opisywał ani Pohulanki, ani Ponar naszych, które już opisywałem gdzieindziej.

Od Ponar, rzuciwszy na lewo trocki gościniec, jedziemy starym traktem do Kowna, który dziś przestał być pocztowym.

Karczma „Tatarka", piękne wybrzeża rzeki Waki, ładne wzgórza i lasy, które tu urozmaicają widok — wszystko to widziałem tylko po nocy, sennemi oczami, widziałem, nie wiedząc o tem, że patrzę, bo w marzeniach, bo w drzemce nie te okolice, ale inne widziałem, dwa światy: jeden, który opuszczam, drugi — do którego dążę.

Z marzeń i snów ocknąłem się w miasteczku Jewju. Konie stanęły przed karczmą, a mój woźnica oświadczył, żeśmy od Wilna ujechali mil już cztery i że czas wytchnąć... Buda wtoczyła się do obożnej; mój woźnica począł odprzęgać konie, mrucząc poranne pacierze, a ja poszedłem do gościnnego pokoju wypłacać resztę należności Morfeuszowi.

Zaledwie do połowy ubiegłem na dziś przeznaczoną krainę marzeń, gdy drzwi, otworzone z trzaskiem, i miły dla ucha podróżnego szmer samowaru zbudziły mię z uśpienia, przypominając, że czas w dalszą drogę.

Słychać było z obożnej, jak konie do-

gryzają resztki siana, jak się mój furman kłóci z gospodarzem o wiadro, które utopił w studni, i z kozą, która, wspinając się do żłobu, odjada jego szkapy. Słyszę nakoniec brzęk łańcuchów — znak, że konie zaprzęga. Parzę podniebienie gorącą herbatą, rozpłacam się, wychodzę: konie gotowe, furman kończy szwargotać z innymi, noclegującymi tu furmanami. Wlazł poważnie na kozieł, poprawił się, ujął bicz: „Wiu-ho! wiu!" „*Sei gesund!*" „*Fohr gesund!...*" Jedziemy...

Z miasteczka Żyżmor jedziemy do Rumszyszek. Tu mam się zobaczyć z ukochanym, a tak dawno niewidzianym Niemnem. Serce bije gorączkowo... Zda mi się, że pomimo chłodnej jeszcze pory, kiedy się wykąpię w Niemnie, to odmłodnieję, jakem był młody przed laty, że łzy gorzkich doświadczeń życia kiedy wpuszczę do Niemna, to one mi nazawsze wypłyną z oczu, albo zamienią się na łzy radosne. Niemen — powiernik, brat, przyjaciel — ochłodzi mię albo ocie-

pli, w miarę potrzeby; stanie się dla mnie Jordanem, chrzestną rzeką odrodzenia.

Od lat sześciu, od czasu, jakem się kąpał w Niemnie, wszystko się zmieniło na świecie... Kąpałem się w Niemnie w Rumszyszkach... I cóż powiecie? — Niemen się zmienił, Niemen stracił swoją lekarską dla ducha własność...

Sieroto! Jedź dalej, uciekaj z miejsc, gdzie nikt po tobie nie tęskni! Śpiesz do miejsc, gdzie nikt cię nie czeka!

Miasteczko Rumszyszki, liche, drewniane, z kilkudziesięciu chałup żydowskich złożone, niczem nie zasługuje na uwagę. Ale minąwszy je, otwiera się na lewo wspaniały widok na Niemen, którego drugi brzeg należy już do Królestwa Polskiego...

Monotonna i mało urozmaicona droga z Wilna do Żyżmor odtąd aż do Kowna poczyna być prawdziwie malowniczą. Długo po lewej naszej ręce mamy Niemen; po prawej — lasy liściaste i sosnowe, niegdyś ciągnące się bez przerwy, dziś po-

przerzedzane, i góry, które przeklina furman, ale które dają przecudne widoki... a które, krom innych, mają tę zaletę, że nie dają spać mojemu woźnicy.

Nudzi mię swoim snem, zwłaszcza gdy mi się chce gawędzić, dowiadować się o stronach, które przebywamy. Starozakonny automedon co tydzień jeździ z Wilna do Kowna, a jednak nie zna nazwisk wsi, które przejeżdżamy, a jeśli które zapamiętał, to je wymawia tak, iż z jego informacji nic dojść niepodobna.

Śpiewa niekiedy, a gdym mu, o milę od Rumszyszek, kazał w karczmie dać spory kufel gorzałki, zaśpiewał mi pieśń o zającu, dosyć podobną do naszej: „Siedzi sobie zając nad miedzą“ — dowodząc, że u żydów, oprócz religijnych, są jeszcze pieśni cywilne. Oto tekst pierwszej strofy „Zająca“ w języku żydowsko-niemieckim:

Nicht ein Thier, nicht ein Fisch,
Und mich legt dem Herr auf Tisch,
Und ich lauf her und hin,
Keiner weiset (wisst), wo ich bin —

czyli: Nie jestem zwierzęciem, ani rybą; stawią mię panu na stół; latam tu i owdzie, a nikt nie wie, gdzie jestem...

Wjeżdżamy do Kowna. Hotel t. zw. Warszawski, nieopodal niemeńskiego mostu położony, zdał się mojemu woźnicy najstosowniejszym na nocleg. Rozlokowany w wygodnym numerze, zabieram się do pracy, ale mi tak coś na sercu tęskno i sieroco, tak mi się łzy kręcą na oczach, tak rozstrzelonych myśli połowić nie mogę, że ciskam pióro i ruszam na wieczerzę do restauracji, będącej w tymże hotelu.

Kilku wojskowych, kilku znajduję miejscowych urzędników... Twarze obce... Nie masz do kogo przemówić słowa — i znowu czuję sieroctwo.

Los jednak nie chciał, abym opuścił Litwę bez widzenia znajomych twarzy. Dwóch wilnian: kochany Bolesław Ł. i pan W. P., przejeżdżając przez Kowno, dowiedzieli się o mojej tu bytności i przyszli mię widzieć. Reszta wieczora upłynęła na wesołej pogadance, przy szklanicy kowień-

skiego miodu. Ale od starych litewskich czasów zmieniło się w Kownie wszystko, aż do miodu! Pomimo siły wyobraźni, trudno nam było przy cienkim żydowskim miodku przypomnieć starego Kiejstuta...

Chciałem towarzyszów upoić trunkiem z Helikonu: począłem czytać jakiś mój nowy utwór. Koncept się powiódł— posnęli.

Zwaliska zamku kowieńskiego nad Niemnem w r. 1859.

II.

POŻEGNANIE KOWNA I NIEMNA. — RÓŻNICA MIĘDZY KORONĄ A LITWĄ.

Kowno! Nasze stare, historyczne, handlowe, piękne, jak raj ziemski, co do swojego położenia, Kowno! Chciałbym cię wystudjować, opiewać, wyrysować, zabrać do mojego pugilaresu, jako pamiątkę; ogłosić światu, zapoznać z tobą cudzoziemców i swoich, boś godne liczyć się do najbardziej zajmujących miast w Europie.

Dla połączenia Niemna z Wilją, dla swego handlu, dla tego, że tędy przechodzi szosa, łącząca Rosję z dalszą Europą, cudzoziemcy znają Kowno lepiej niż właśni odleglejszych stron rodacy, do których doszła tylko sława kowieńskiego miodu i Kowieńskiej doliny.

Od czasów mitycznego Palemona aż do czasów Napoleona, który z wiekami stanie się mitem — ileż to razy Kowno niszczone, palone, wyludniane, szybko wracało do dobrego bytu, dzięki swojemu położeniu i opiece panujących, którzy się na ważności tego miasta poznać umieli!

Niemen i Wilja, dwie żywotne arterje Litwy, centrowały tutaj, jak w sercu, wszystkie produkcje żyznej ziemi Palemona.

Pływającym mostem przebywszy mój piękny, mój bratni, mój rzewnie ukochany Niemen, jestem już na ziemi Polski kongresowej, w miasteczku Aleksocie.

Penzla Claude-Lorrain'a potrzeba na oddanie czarodziejskiego widoku, jaki tu nas otacza. Jesteśmy na górze: Kowno u stop naszych błyszczy przy porannem świetle majowem wieżami swoich dziesięciu świątyń; szeroki, błękitny, uroczystą mgłą otoczony Niemen, cały to w srebrnych, to w złocistych iskrach, mży się, kipi, wesoło niesie wiciny, baty pruskie,

płyty drzewne i pomniejsze łodzie; wesoły, swobodny flis wyśpiewuje piosnkę żeglarską, w której przebija tęskna, rodzinna, litewska nuta. A z tej strony Niemna piętrzą się wysokie, strome góry, porosłe lasem liściastym; z pomiędzy parowów wyglądają ładne, murowane domki Aleksoty.

Od pierwszego rzutu oka daje się widzieć różnica administracji Królestwa a Cesarstwa: polskie nazwy urzędów, polskie napisy, większa czystość domów, insza fizjonomja ludu, który napotykamy, insza rasa koni, insza konstrukcja wozów, słowem wszystko zdaje się świadczyć, że Niemen stanowi tutaj nie sztuczną, ale naturalną granicę. A przecież jesteśmy jeszcze w Litwie i długo będziemy jechali krajem odwiecznie litewskim, gdzie lud, pomimo wpływów polonizmu i niemczyzny, dobrze jeszcze strzeże swojej dawnej mowy i narodowości.

Zaopatrzywszy się w t. zw. dystrybucji w dosyć złe, a stosunkowo drogie

cygara, puszczamy się w drogę, rzucając ostatnie, pożegnalne spojrzenie na Kowno i czarodziejskie jego okolice.

Żegnaj, Niemnie, domowa rzeko moja! Nawet nie mogę na twych falach posłać pożegnania znanym stronom i znajomym dobrym ludziom, bo płyniesz w strony obce, do obcych ludzi, do kraju t. zw. cywilizacji, zostawiając za sobą skromną, cichą, patrjarchalną Litwę. Kierunek naszych dróg jest zupełnie przeciwny, dążymy wszakże w jedną stronę: do ziemi niemieckiej, do krainy przemysłu i talarów, mętnej, jak drożdże filozofji i klarownego piwa bawarskiego. Dążymy do pięknej Germanji, aby jej wypłacić haracz z naszego chleba i z naszej admiracji.

Niemnie, cichy powierniku niegdyś moich dumań samotnych na cichych błoniach pod Załuczem! Oto po tylu latach spotykamy się z sobą w Kownie, w przedsieni cywilizowanego świata! Gdzie nasz cichy światek tameczny? Czy my, dzieci odludnej puszczy, spodziewaliśmy się uledz

przed tą potęgą cywilizacji i dać się unieść jej wirem?

A jednak tak się stało. Niemen kołysze na swych falach szybkie, szumne, dymem buchające parowe statki; ja — myśli moje już nie falom Niemna, już nie skrzydłom wietrzyku, ale powierzam drutowi elektrycznemu, co powiązał wszystkie stolice Europy i niesie myśl ludzką z szybkością, właściwą myśli.

Tu, na polskiej stronie Niemna, wszystko odmienne niż u nas. Droga żwirowana, bita, starannie utrzymywana, zamiast naszych błot i piasków; słupy telegraficzne po jednej stronie drogi, jak olbrzymi płot, ustawione, zamiast brzozek i wierzb, co u nas gościniec pocztowy ocieniają. Niczem prawie nie urozmaicona równina zastępuje tutaj nasze wzgórki, gaiki i lasy. Wieśniak, którego spotykasz, urodziwy, barczysty, w czarnym, bitym z wełny kapeluszu, nie wlecze się na chudej szkapie, zaprzężonej w hołoble, ale dziarsko wali parą lub trójką dziarskich koni, wozem

dyszlowym, kutym i niezmiernie długim. U nas karczma zowie się karczmą, tutaj— oberżą lub hotelem; u nas żyd karczmarz wysysa krew ludu, tutaj — niemiec.

Lud tutejszy, jak niemal w całem Augustowskiem, mówi wyłącznie po litewsku; po polsku mało rozumie i nieochoczo mówi tym językiem; gotów nawet udawać nieumiejętność, chociażby go posiadał. Dzięki więcej rozwiniętej swobodzie, bardziej niż nasz, ocenia dobrodziejstwa moralności i oświaty. Towarzystwo wstrzemięźliwości, gorliwie przez duchowieństwo po miastach i wsiach szczepione, zmniejszyło pijaństwo tak dalece, że niektórzy właściciele gorzelni *dobrowolnie* je pozamykali. Przykład niemców, którzy hurmem tu się cisną, nauczył włościan porządniejszej gospodarki. Niejeden ojciec oddaje syna do szkoły lub gimnazjum; niejeden syn, zaszczytnie ukończywszy nauki, wraca do pługa i brony, a chlubny z tradycyjnej swych praojców siermięgi, śpiewa na roli

pieśń litewską, po litewsku się modli i poślubia prostą dziewuchę swojego sioła.

Te budujące szczegóły o ludu polsko-litewskim w gub. Augustowskiej zbierałem w drodze bardzo powoli, bo lud tutejszy jest nieskłonny do wynurzenia się przed obcym, zwłaszcza gdy ten nie posiada języka litewskiego.

Wieśniak, którego nająłem z Kowna do pierwszej stacji, Wejwer, lubom się później przekonał, że doskonale rozumiał i mówił po polsku, zbył moje zapytania zwyczajnem u nich: *Ne suprantu* (Nie rozumiem) i upornie milczał przez całą drogę. On się zgodził za woźnicę, nie za opowiadacza, ale sprawiedliwość każe wyznać, że się ze swojego woźniczego obowiązku sumiennie uiszczał. Po wybornej drodze bitej szybko leciały jego poczciwe mierzyny, warczał kuty, długi, drabiasty wóz kmiotka. Do mieściny Godlewa, o 9 podobno wiorst od Kowna leżącej, nie jechaliśmy spełna trzech kwadransów — wy-

borna jazda po wczorajszej żydowskiej z Wilna do Kowna.

W Godlewie, gdzie jest ładny kościół murowany, kilka domków schludnych w rodzaju miasteczka i murowana oberża, pan Maciej (bo zdołałem dowiedzieć się o jego imieniu) mruknął, że potrzeba dać chwilę koniom do wytchnienia.

— Poczekaj! — myślę w duszy — poczekaj, uparty litwinie! Zmuszę cię do gawędy: kupię ci gorzałki.

Nie powiódł się zamiar: pan Maciej należał do Towarzystwa wstrzemięźliwości, dał słowo proboszczowi, że gorzałki pijać nie będzie, a lud tutejszy, twardy w słowie, nie czyni sobie restrykcji.

Mazurscy pocztarze, lubo należący do Towarzystwa wstrzemięźliwości, chętnie wychylali „kwatyrkę"...

. . . . . .

III.

PODRÓŻ KOLEJĄ ŻELAZNĄ. — WJAZD DO POZNANIA. — BAZAR. — TEATR.

Jesteśmy już w granicach Księstwa Poznańskiego. Cug leci chyżej ptaka; zaledwie parę minut zatrzyma się na stacji i leci dalej, tak, że zaledwie jest czas przeczytać nazwisko miejscowości, wypisane czarnemi literami na facjacie banhofu, i odległość od Wrocławia i Poznania. A miejscowości to ważne; niejedną chciałoby się zwiedzić, rozpatrzyć, obudzić w sobie wspomnienia dziejowe, do nich przywiązane. Ale nieubłagany świst pary, jak głos nad uchem wiecznego żyda, woła wciąż: „Dalej, a dalej!" Niewidzialna siła z szybkością niesie przez wielkie przestrzenie, nie

dając ani pożałować, cośmy minęli, ani rozpatrzyć się w tem, co mamy przed oczyma, ani przygotować się do tego, co mamy widzieć. Wyobraźnia, zaczem pośpieszy utrwalić jakiś obraz, już się ten obraz drugim zamienia, zostawiwszy tylko nikłe wspomnienie.

Nie wiem, czy drugi raz w życiu tutaj wrócę; byłem i nie widziałem. Niemal z płaczem mówiłem do siebie: oto są wrażenia podróży koleją żelazną!

Minęliśmy granicę śląską, minęliśmy miasto Rawicz, posiadłość niegdyś Przyjemskich, potem Opalińskich, miasto pamiętne fabryką sukien i drukarnią, czego dziś niema śladu.

Minęliśmy Bojanowo, gniazdo rodu Bojanowskich herbu Junosza, gniazdo twojego rodu, zacny mój sąsiedzie Borejkowszczyzny pod Wilnem, kapitanie Janie Bojanowski! Przyszedłeś mi na myśl z twoją zacną fizjognomją, z twojemi listami rymowanemi, któremiś wywoływał moją Muzę do opiewania chłodniku, kłopotów

indyczki i tylu innych ważnych przedmiotów. Świat nie ujrzy tych naszych arcydzieł humorystycznych, któremi urozmaicaliśmy monotonność życia wiejskiego*).

Myśl, pchnięta ku wspomnieniom domowym, zabawiała się obrazkami Litwy, poczęła błądzić po górach podwileńskich, gdy się pociąg zatrzymał na parę minut. Jesteśmy w Rydzynie, dawnej posiadłości Leszczyńskich, potem Sułkowskich. Ochota bierze zwiedzić starożytny zamek tutejczy, lecz naturalnie kończy się tylko na ochocie. Lecimy do Leszna.

Jakież to cudackie nazwiska popisano na facjatach stacji kolei żelaznych! „Reisen" to ma być Rydzyna, „Lissa" to ma być nasze Leszno. Plemię germańskie, aby nie utrudzać swoich pieszczonych usteczek, w ten sposób zdelikatniło szorstkie nomenklatury słowiańskie, kazało im się na-

*) Wiersz Syrokomli „Do kapitana Bojanowskiego" jest wydrukowany, z drobnemi opuszczeniami, w „Poezjach" (Warszawa, 1872 r., t. X, str. 341). *(P. W.)*.

zywać nie chrzestnemi imiony, lecz jakiemiś pseudonymami; ale z pamięci ludu i z karty historycznej nieprędko znikną staroświeckie nazwy, a kto wie, czy nie przeżyją milej brzmiące „Reiseny" i „Lissy".

Leszno, miasto piękne i wspaniałe, ileż to wspomnień nasuwa ze swej przeszłości! Tu gniazdo rodu Leszczyńskich, tu jeden z najpierwszych w kraju przytułek braci czeskich, jedna ze stolic reformacji w Polsce. Tu było gimnazjum, w którem pełnili obowiązki nauczycieli najuczeńsi różnowiercy: Rybiński, Regenvolscius (Andrzej Węgierski), J. A. Komensky. Tu była drukarnia, której druki liczą się dziś do najrzadszych, które później, ze czcią niemal religijną, oglądałem w Kórniku. Tu przebywał Stanisław Leszczyński, król polski, a po ostatecznym upadku swych nadziei utrzymania tronu, przedał Leszno wraz z innemi dobrami Sułkowskim.

Nie miałem czasu sprawdzić dzisiejszego bytu miasta, lecz sądząc z powierzchowności, ten zdaje się być kwitnącym.

Przez wieś Stare Bojanowo, które niemcy przezwali „Alt-Bojen", gdzie jest stacja kolei żelaznej, stanęliśmy w Kościanie, mieście niegdyś należącem do dzielnicy śląskiej, sławnem ongi, fabrycznem, uprzywilejowanem i handlownem, które dziś jest stolicą powiatu tegoż nazwiska.

Już tylko sześć, już tylko cztery, już tylko dwie mile do Poznania! Mijamy Czempin i Mosiny, ubiegamy milę na kwadrans, ale mi się zdaje, że cug leci powoli, że się nigdy nie skończą 30 minut, za które mam ujrzeć stolicę Wielkopolski. Nie wysiadałem na stacjach z wagonu, bo mi się zdawało, że w ten sposób przyśpieszę jazdę i cel podróży przyśpieszę. Ale pośpiech parowozu wcale nie odpowiada pośpiechowi niecierpliwej myśli, która, straciwszy nadzieję rozmarzać się wrażeniami podróży, radaby już coprędzej spocząć u jej celu.

W wagonie siedzę sam jeden. Między Lesznem a Czempinem wsiadł do niego poważny jegomość, poprosił u mnie

po niemiecku o ogień do cygara, podziękował i, milcząc, palił je przez całą stację. Rozmowniejszym był ksiądz katolicki, wikary probostwa niemiecko-katolickiego, które się znajduje w kościele po-franciszkańskim w Poznaniu. Ten, wsiadłszy w Mosinach do wagonu, w którym jechałem, był tak grzeczny, że się wdał odrazu w rozmowę po niemiecku, gdyż po polsku nie umiał ani słowa. Opowiadał mi kilka szczegółów, tyczących się swojej parafji, cośkolwiek o stanie gospodarczym W. Księstwa, poczem umilkliśmy. On się gotował na jutrzejsze kazanie; ja rozdartą myśl posyłałem w dwie strony świata — to wstecz, na Litwę, gdzie nikt po mnie nie tęskni, to naprzód, do Poznania, gdzie nikt mię nie czeka.

— Za kwadrans będziemy na miejscu — powiedział ksiądz, patrząc na zegarek z zimną krwią, która dziwnie odbijała od mojej niecierpliwości.

Ale ten kwadrans ciągnął się długo, jak wieczność. Wagony, których ruch do-

tykalnie czujemy, dygocą, zda się, na miejscu. Krajobraz jednak, a raczej jedna równina, zielonem zbożem porosła, przesuwa się przed nami. Znaczno, że się naprzód posuwamy.

Słońce zaszło, na kolei pozapalano latarnie sygnałowe; świst krótszy, potem długi dał znać, że przybywamy do miasta. Nie widziałem zdaleka jego panoramy, bo Poznań od strony Wrocławia wcale nie daje widoku. Kilka domów z miejską fizjognomją, mimo których przelecieliśmy, i kilkanaście wiatraków na polu, — oto wszystko, co zwiastowało większą osadę ludzi.

Na stacji kolei ruch, krzątanina, szwargot niemiecki, ani jednego słowa polskiego. Sieroce jakieś uczucie mię ogarnęło. Czułem, że jestem na ziemi polskiej, a wokoło było mi tak obco, tak tęskno, że kiedy służba pocztowa krzątała się przy naszych tłómokach, jam mimowolnie zapłakał.

Przy stacji pełno dorożek. Każdy z po-

dróżnych śpieszy ze swym tłómokiem zająć jedną z nich, wymienia ulicę i numer domu, do którego śpieszy. Ja nie znam ulic tutejszych; nie wiem, pod jakim numerem płatny garson hotelowy powita mię; nie wiem, czyje ręce zastawią mi wieczerzę; nie wiem nawet, czy na dobranoc polskie słowo posłyszę.

Wsiadłem do krytej dorożki parokonnej i kazałem się wieźć do pierwszego lepszego hotelu. Po kwadransie jazdy wśród ciemnego wieczora, wśród nieznanych mi ulic, dorożka zatrzymała się przy hotelu Berlińskim, w środku nowego miasta, przy rozdrożu ulic Wilhelmowskiej i Fryderykowskiej. Służba wybiegła naprzeciw gościa; dano mi mały pokoik, usłano pościel z dziesięciu pierzyn — ale ja, ku wielkiemu zgorszeniu kelnera, kazałem ją odrzucić, a usłać moją twardą pościałkę podróżną.

Jestem tedy w Poznaniu, w pierwszej stolicy Polski, wychodzącej na widownię dziejów, gdzie chrzest przyjął Mieczysław I, gdzie syn Bolesław przyjmował cesarza

Ottona i gdzie po świetnem panowaniu złożył do mogiły chrobrą głowę; w Poznaniu, gdzie żyło, wsławiło się i zmarło tylu znakomitych dygnitarzy państwa, biskupów, uczonych, którymi się Polska do dziś dnia chlubi; w miejscu tylu ważnych wypadków, tylu historycznych wspomnień.

Niecierpliwy świętych wrażeń, jakie tu miały mię spotkać, nie zważając na spóźnioną porę, wyszedłem do miasta. Ale wyobraźnia moja na ten raz smutnie się zawiodła. Czułem, że duch starożytności nie wieje na mnie, że serce silniej nie bije. Dowiedziałem się od kogoś z przechodzących, że jestem w dzielnicy miasta nowego, które nie dalej jak od pruskich czasów datuje swoją przeszłość, że stary Poznań Mieczysławów i Chrobrych ze swoją katedrą, dziewięćset niemal lat liczącą, leży stąd jeszcze daleko, nad Wartą i rzeczką Cybiną.

Ciemność nie daje się rozpatrywać w szczegółach, ale widzę przed sobą cie-

Ratusz w Poznaniu w r. 1860.

nie gmachów ogromnych, w nowożytnym kształcie wzniesionych, ulice szerokie i proste, gęste alleje — słowem miasto, które ma pretensję leżeć w ucywilizowanej Europie. Nie takiego chciałem Poznania, nie do takiego tęskniłem i śpieszyłem z biciem serca!

Z daleka słychać turkot dorożki, w oddali miga światło latarni gazowej; małe grupy powracających do domu snują się po ulicach; w rozmowie ich nie słyszę ani jednego słowa po polsku; na zapytanie odpowiadają lakonicznie: *Ich verstehe nicht polnisch.* Mój Boże! czyż to Poznań?

Udało mi się dopytać o mieszkania osób przybyłych, z któremi miałem się zjechać w Poznaniu. Były już w mieście i jeszcze nie spały. Parę godzin, radośnie spędzonych, rozmowa o miejscach i ludziach, dalekich stąd, wzajemne opowiadania to minionych wypadków, to przebytej podróży — są to wspomnienia moje osobiste, któremi nie przystało mi nudzić czytelnika.

Koniec wieczoru naprawił pierwsze, przykre wrażenie Poznania. Wróciłem do domu (zabłądziwszy parę razy na nieznanych ulicach) i usnąłem, marząc o jutrze.

Pogodny ranek rozbudził mię nazajutrz ze snu twardego — i znowu mi się przypomniało, że jestem na starożytnej ziemi moich ojców, a jednak nie między swoimi. Zadzwoniłem. Niemiec posługacz przyniósł mi herbatę, niemiec faktor przyszedł zalecić swoje usługi, niemiec golarz oczyścił z mojej brody zarost podróżny, niemiecką monetą płaciłem ich gorliwe usługi. Nawet jaskółka, co z tamtej strony okna wiła swe gniazdko, zdawało mi się, że szczebiocze po niemiecku...

Wyszedłem na ulicę. Był to czwartek, dzień Bożego Ciała *).

Gdzież ten ruch uroczysty, który u nas, w Wilnie, w tym dniu panuje? Gdzie te umiecione i brzozkami osadzone ulice, przez które mają nieść Chleb Żywota? Gdzie

---

*) 3 czerwca 1858 roku. (*P. W.*).

ta ludność, świątecznie ubrana, co się snuje od kościoła do kościoła, czekając na procesję? Gdzie ta jakaś święta woń w powietrzu, która w dni uroczyste kościoła nastraja duszę naszą do rzewniejszej modlitwy? Tu wszystko ma jakąś postać codzienną, zwyczajny ruch porankowy większego miasta i nic więcej.

Rzekłem już, że mieszkam w hotelu, przy przecięciu ulic Fryderykowskiej i Wilhelmowskiej. W tem przecięciu jest mały placyk, na którym pobudowane są cztery stragany drewniane, gdzie niemki sprzedają owoce i ciastka. Wznosi się na tymże placu piękny wodotrysk z ciosanego kamienia, a raczej pompa wodna, mająca od strony północnej popiersie Wincentego Priesnitz'a i napis po polsku i po grecku: „Nic lepszego nad wodę". Wodociąg ten, jakem się później dowiedział, Poznań zawdzięcza staraniom Edwarda hr. Raczyńskiego.

Ulica Wilhelmowska, szeroka na pięćdziesiąt kilka kroków i bardzo długa, ma po obu stronach miejsce dla przejazdu

ekwipażów i chodniki kamienne, a w środku aleję z lip i kasztanów, dosyć cienisto zarosłą. Mnóstwo wytwornych sklepów ze świetnemi wystawami zdobi ją po obu stronach, a kilka prawdziwie pięknych gmachów mogłoby figurować w pierwszej stolicy europejskiej. Do najcelniejszych się liczą: gmach Towarzystwa kredytowego czyli t. zw. tu Landszafty, hotele: Bawarski, Myliusa i Francuski, pałac hhr. Raczyńskich, gdzie jest biblioteka i poznańskie muzeum starożytności, gdzie też odbywają się posiedzenia Towarzystwa przyjaciół nauk. Od pałacu Raczyńskich ulica Wilhelmowska idzie na prawo i przybiera nazwę placu Wilhelmowskiego. Piękny to plac...

. . . . . .

Większa część osób, przybyłych z prowincji, które mię łaskawie odwiedzać raczyły, mieszka w hotelu nazwanym „Bazar", położonym przy ul. Nowej, a należącym do najpiękniejszych gmachów Po-

znania. Trochęm się zdziwił tą azjatycką nazwą hotelu, znaczącą „rynek", ale znalazłem ją naturalną, gdym się dowiedział o pierwiastkowym celu założenia tego miejsca. Miał tu być istotny rynek polski, gdzieby rzemieślnicy i kupcy słowianie mogli mieć wygodne sklepy, szlachta, przybywająca do miasta — wygodny i tani lokal, a wszyscy — dobry w środku miasta punkt centralizacji.

Przedsiębierstwo, puszczone przez akcje, wybornie się powiodło. Sklepy zajęli rzemieślnicy i kupcy polscy; usługę hotelową powierzono samym polakom, a ciągły napływ przybywających świadczy, że tu się troszczą o ich wygodę.

Wyborna restauracja ma obiady z karty o każdej porze, a t. zw. *table d'hôtes* o godzinie 2-iej. Widywałem na tych ostatnich towarzystwo, złożone naraz z kilkudziesięciu osób. Jest tu urządzony klub czyli t. zw. Kółko, gdzie się odbywają zabawy publiczne podczas karnawału oraz świętojańskiego jarmarku, wyścigów i tran-

Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu w r. 1858.

zakcji, gdzie co wieczór grono mężczyzn schodzi się dla gry w karty i czytania pism perjodycznych, których tu jest piękny dobór.

Numery mieszkalne urządzone są z przepychem i wygodą; służba prędko i zręcznie wykonywa zlecenia. Słowem, Bazar odpowiada w zupełności swojemu celowi. Tylko w ostatnich czasach poczęto się uskarżać na drożyznę. Czas jarmarkowy mógł ją usprawiedliwić.

Bazar poznański zostanie dla mnie miejscem pamiętnem na całe życie. Tu, na obiedzie dnia 10-go czerwca, obywatele wielkopolscy dali mi rzewny dowód swojego współczucia, na które bogdajbym zdołał zasłużyć; tu miałem zręczność złożyć im rzewną podziękę i w imieniu Litwy przemówić bratnie słowo do wielkopolan.

Wieczorem tegoż dnia dawano w teatrze moją „Chatkę w lesie". Tu otrzymałem nowe, rzewne dowody współczucia publiczności. Wypadek uboczny, który później gazety niemieckie rozmyślnie prze-

naturzyły, okrył chmurą resztę dnia, który do najpiękniejszych w życiu policzam. Myśl, że wypadek ten zaszedł na mojej sztuce, nie na jakiej innej, dręczy mię dotąd.

Mój Boże! Czyż istotnie jakaś fatalność ma spotykać osoby, z któremi się w jakibądź sposób w życiu zetknąłem?*)

*) Grająca tego dnia w sztuce Syrokomli, Helena Kirkorowa zraniła się na scenie (czy umyślnie, czy trafem — nie wiemy), bez szkodliwych zresztą dla siebie następstw. *(P. W.)*.

IV.

OBJEZIERZE. — TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W POZNANIU.

...Wśród miłej pogadanki, po drodze do Objezierza (majętności Turnów), zwracałem uwagę na fizjognomję Wielkopolski, równą, polistą, gdzie niegdzie strojną w liściaste laski, bogatą pięknym rozwojem zbóż, z wioskami, rozsypanemi w niewielkich grupach po przestrzeni.

Spoglądając na chaty gliniane, pobielane, słomą kryte, spotykając lud piękny i dorodny w granatowych czamarach, czerwonych kamizelkach i szerokich, czarnych kapeluszach, serdecznie żałowałem, że nie mogę w tej chwili zajrzeć do wnętrza tych chatek, zajrzeć do serca tego ludu, ludu

może najpiękniejszego w Polsce, o którym tak mi wiele mówiono, a który pokochałem z pierwszego wejrzenia.

Składam na tej karcie serdeczne dzięki gospodarzom Objezierza za ich gościnne przyjęcie. Dzionek, tu spędzony, należy do tych, które się nieprędko w życiu zapominają.

Miejscowość tutejsza datuje od niepamiętnych czasów. W początkach XV wieku było tu t. zw. Opole, stolica 40 wsi. Opole — wyraz wielkiego znaczenia w starożytności słowiańskiej, o którym Józef Przyborowski, na odwiecznych źródłach archiwalnych oparty, gotuje ciekawą rozprawę. Za Zygmuntów Objezierze było w posiadaniu panów Obiezierskich, którzy nie nadali mu swego nazwiska, ale raczej wzięli je od miejscowości. Najprawdopodobniej nazwę miejscu dało piękne, nieopodal leżące jezioro, przy którem znajduje się starosłowiańskie grodzisko (po naszemu: horodyszcze).

Obywatele wielkopolscy odznaczają się

religijnem poszanowaniem pamięci praojców, lubią otaczać się pamiątkami przeszłości, patrzeć na nie, żyć w nich. Obiadowaliśmy w sali, która, chciałbym, aby służyła za wzór polskim izbom stołowym. Zdobią ją portrety królów polskich od Mieczysława do Poniatowskiego włącznie, kopjowane z wizerunków Bacciarellego, zdobiących b. Zamek królewski w Warszawie, oraz kilku hetmanów starego pendzla, a na murze są freski, wyobrażające herby wszystkich województw i ziem dawnej Polski. Na sklepieniu sufitu masz herby królów, oraz herby naszych przedniejszych stolic: Krakowa, Warszawy, Wilna i Lwowa. Z jakąż radością powitałem nasze godła litewskie, naszego niedźwiedzia żmujdzkiego, Pogoń wileńską i herb m. Wilna: naszego św. Krzysztofa czy też mitycznego olbrzyma Alcisa!

W niewielkiej, lecz wyborowej bibliotece, oprócz kilku dzieł rzadkich, oglądałem wykopaliska miejscowe, których tu wszędzie pełno: piękne garnki i urny sta-

rosłowiańskie, broń kamienną, parę ładnych hełmów, parę mieczów, wszystko zdobycze kurhanowe, nacechowane głęboką starożytnością.

Po obiedzie zwiedziliśmy kościół tutejszy. Uderza nieszykownością swej architektury, część bowiem do XV wieku bez zaprzeczenia należy, a część druga jest późniejszą przybudówką. Mają tu spoczywać zwłoki sławnej z nieszczęść, pięknej Halszki z Ostroga*). Tak przynajmniej utrzymują badacze miejscowi i wskazują jej nagrobek na zewnętrznej stronie kościoła, na trzech płaskich kamieniach u podstawy murów. Istotnie wyczytałem na nich napis staremi, z grecka (!) łacińskiemi literami: *Hic jacet*—

*) Córka Eljasza ks. Ostrogskiego i Beaty Kościeleckiej, w r. 1533 wydana przez ojca za Dymitra ks. Sanguszkę, wbrew woli matki i jej własnej. Wielbiciel jej, wojewoda Marcin Zborowski zabił Sanguszkę w Czechach, ale ręki Halszki nie otrzymał. Z rozkazu króla poślubiono ją wojewodzie Łukaszowi Górce. Matka Beata nie dopuściła jednak do spólnego ich pożycia. Halszka zmarła w klasztorze, w obłąkaniu. *(P. W.)*

Elena i herb Ostrogskich Strzała. Sarkofag niewiasty uśpionej, w stroju na pół zakonnym, staroświeckiej roboty, nadniszczony, dziś wmurowany przy wielkim ołtarzu po prawej ręce, miał być uzupełnieniem tego grobowca.

Po lewej ręce, przy tymże wielkim ołtarzu, jest kuty z piaskowca, inny nagrobek jednego z Obiezierskich, zmarłego w roku 1593. Z długą brodą, w zbroi, śpi — rzekłbyś — stary rycerz polski snem sprawiedliwego. Dziwny wyraz błogiego odpocznienia umiał wlać nieznany rzeźbiarz w tę twarz kamienną. Reszta postaci i sama jej poza nie odznacza się poprawnością rysunku i nosi cechę rzeźb owoczesnych, ale twarz Obiezierskiego należy bez zaprzeczenia do arcydzieł.

Kościół tutejszy posiada relikwję, głowę św. Klemensa męczennika, w ślicznym staroświeckim relikwiarzu srebrnym. Zresztą obrazy ma nieosobliwego penzla i nowsze, takież — chorągwie, słowem nic, co-

by się odznaczało pod względem starożytności lub sztuki.

Wieczorne towarzystwo powiększył p. Franciszek Mickiewicz*), rodzony brat wieszcza, zamieszkały oddawna w Poznańskiem. W rysach jego upatrują podobieństwo do brata. Wypytywał mię o strony nowogródzkie, o tameczne miejsca i ludzi. Niestety! nie poznałby dziś pewno tamtych stron i ludzi. On pytał mię o ojców, a ja ledwie o synach dać mogłem wiadomość.

Koźmian z poematu swojego ojca „Stefan Czarniecki“ deklamował końcowy ustęp o dzwonie Zygmuncie w Krakowie, śliczny ustęp, po którego ogniu i energji anibyś się domyślił, że był pisany ręką ośmdziesięcioletniego starca. Muzyka zakończyła wieczór.

Poszedłem na spoczynek rozrzewnio-

---

*) Brat starszy Adama Mickiewicza, uczestnik powstania listopadowego, po roku 1831 osiadły w Poznańskiem. *(P. W.)*

ny, rozmarzony, szczęśliwy. Ale nie było czasu marzyć, bo jutro o g. 4-ej mieliśmy wyjeżdżać, aby się zabrać na odchodzący rano z Rokitnicy do Poznania pociąg osobowy.

Jeszcze się senne oczy otworzyć nie chciały, głowa domarzała resztę jakiegoś snu pięknego, kiedy krzątanie się towarzyszów podróży kazało być w gotowości do odjazdu. Z rozpaczliwą rezygnacją porwałem się z pościeli, ale chłodek ranny prędko mię orzeźwił, serdeczna pogadanka odpędziła sen z oczu, piękna natura dodała wesela myśli.

Konie gotowe; przybywamy na stację drogi żelaznej; cug przybywa, zabiera nas; lecimy i w półtorej godziny stajemy w Poznaniu.

Miasto jeszcze wpółsenne, ale mię opuściła ochota dosypiać niedospane godziny. Sam w mojej izdebce sumuję wrażenia miłej wycieczki do Objezierza.

W poniedziałek wieczorem zostałem zaproszony na sesję wydziału historyczne-

Bazar w Poznaniu w r. 1858. (Nagłówek papieru listowego, na którym pisał Syrokomla).

go tutejszego Towarzystwa przyjaciół nauk, które odbywa swoje obrady w pałacu Raczyńskich przy ul. Wilhelmowskiej.

Zastałem tam zgromadzone wszystkie już pierwej mi znane osoby. Prezydował p. Motty, znany u nas tłómacz wierszem miarowym „Bukolik“ Wirgiljusza“ i „Listów“ Horacego. Przedmiotem obrady było ostateczne usankcjonowanie ogłoszenia nagrody, jaką August hr. Cieszkowski w sumie tysiąca talarów przeznaczył za napisanie najlepszej historji stanu włościańskiego w Polsce od najdawniejszych czasów do rozbioru kraju. Osobna komisja z łona wydziału historycznego była wyznaczona do zredagowania programatu, a sprawozdawcą jej, a zarazem tegoż programatu autorem był Władysław Bentkowski. Po odczytaniu ogłoszenia, każdy jego pojedynczy perjod był przedmiotem dyskusji, w której brali żywy udział: Tytus hr. Działyński, Roger hr. Raczyński (syn nieodżałowanej pamięci Edwarda), dr. Szulc, p. Niegolewski i Wł. Bentkowski, który bronił

brzmienia swojej redakcji. Wymowne były przemówienia szanownego starca, hr. Działyńskiego, oraz młodego Raczyńskiego. Bentkowski z treściwą logiką wykazywał pobudki, które go skłoniły w ten, a nie inny sposób wyrazić myśl każdą.

Rozprawy przeciągnęły się do późna; może nie jednego znudziły swoją drobiazgowością, ale mnie, nieświadomemu rzeczy, wybornie wyjaśniły sprawę.

Wyszedłem, gorąco życząc, aby przedmiot tych ważnych rozpraw nie pozostał bez skutku, abyśmy choć raz mieli dobrą historję kmiotków w Polsce, aby przyszły autor nie samą tylko Wielkopolskę, ale cały ogół kraju niegdyś polskiego miał na względzie. Praca to wielka, mozolna; kto ją podejmie, pewnie nie względy pieniężne, lecz ważność samego przedmiotu mieć będzie na sercu. Szczęść, o szczęść mu, Boże!*).

---

*) Konkurs ten nie wydał spodziewanych wyników, i ostatecznie, po długim oczekiwaniu, nagrodzono daleką od doskonałości pracę W. A. Maciejowskiego p. t. „Historja włościan“ (1874 r.). *(P. W.)*

Upał nie do wytrzymania zatrzymał mię przez dzień następny w domu. Tylko pod wieczór ułatwiono mi zręczność przedstawienia się arcypasterzowi poznańskiemu, ks. Przyłuskiemu, oraz biskupowi tutejszemu, ks. Serafinowiczowi. Wyszedłem, zachwycony skromnością, prostotą i przywiązaniem do macierzystej ziemi obu pasterzy Kościoła.

Nie miałem sposobności obejrzeć pałacu arcybiskupiego, bośmy byli przyjęci w ogrodzie, którego arcypasterz jest żarliwym (opiekunem)...

. . . . . .

V.

POŻEGNANIE ZE STOLARZEM. — WYJAZD Z POZNANIA. — KAROL KARŚNICKI.—SWARZĘDŹ.—KOSTRZYN.—GIECZ. GÓRZNO. — „BOGUWOLA".

Czwartek, 1 lipca 1858 r., wieś Mystki.

Skończył się nareszcie mój zadługi pobyt w Poznaniu. Zacny p. K.*) miał mię wywieźć na wycieczkę po prowincji

*) Karol Karśnicki (*1804 †1870 r.), podchorąży, a ostatnio kapitan wojsk polskich, przyjaciel Wysockiego i Mochnackiego, jeden z twórców powstania 1830 r., skazany zaocznie na śmierć. Otrzymawszy we Francji stopień inżeniera, pracował w górnictwie i kolejnictwie. W r. 1853 zjechał do Poznania, nabył wieś Mystki w pow. średzkim i rozwinął szeroką działalność obywatelską. Syrokomla, pisząc do druku w Warszawie, podał tylko pierwszą zgłoskę jego nazwiska. *(P. W.)*

wielkopolskiej i dla mnie zatrzymał się dziś na noc.

Karol Karśnicki.

Wczora wieczorem pożegnałem znajomych. Miesięczny pobyt dał mi poznać i pokochać niemało tutaj ludzi. Rozstawałem się, jak ze swymi.

Wróciłem do domu o godz. 10-ej wieczorem. Zastałem moich państwa stolarzy, zabierających się do spoczynku. Z ubolewaniem przyjęli wiadomość o moim rychłym odjeździe. Sama jejmość z serdecznością oświadczyła, że się zajmie ułożeniem mojego tłómoka podróżnego. Pokorny jej małżonek (który, powiedzmy nawiasem, czytał jakiś romans Sue'go w niemieckiem tłómaczeniu) oświadczył po niemiecku, że mi wcześniej, niż zwykle, przyjdzie oczyścić buty. Dobyłem talarka, prosząc, aby mi przyniósł butelkę wina, jakie sam lubi, gdyż wypijemy „pożegnanie". Ukłonił się nizko, wymawiając się, że to niepotrzebne, że on na tę łaskę nie zasłużył. Ale znaglony moją prośbą i stanowczym rozkazem swej małżonki, pobiegł do miasta i w jednej chwili wrócił z butelką przedniego wina reńskiego. Po jego odejściu począłem wychwalać przed małżonką jego skromność. Podobało się to czułej połowie; unosiła się nad trzeźwością, pracowitością i posłuszeństwem męża — przymioty, które sam

niejednokrotnie miałem zręczność podziwiać. Jedną tylko miał wadę w oczach pani Fryderykowej, t. j., mówiąc jej językiem, był bardzo „czytelny".

— Ot, jak wróci od warsztatu, to *won* spracowany, zamiast iść spać, zasiada do książki, psuje oczy i pali niepotrzebnie świeczkę, a *światłość* w Poznaniu *bardzo dość* jest droga. *Jo* go pędzam do spania, a *won* swoje, i jeszcze, czytając, pali cygaro, co jest w naszym stanie duża kosztowność...

Począłem przekładać pani majstrowej, że koszt światła i cygar nie jest tak wielki, a sposób przepędzania wieczoru bardzo niewinny; że inni mężowie więcej marnują grosza i czasu, siedząc po knajpach nad „sznapsem" i „bierem", że nakoniec, mając go zawsze w domu, może być pewną jego wierności małżeńskiej, nie tak, jak innych mężów, co to, Boże odpuść... Splunąłem.

— *O, ja! ja!* On u mnie taki skromny, że kiedy w przeszłym roku...

Zanosiło się na jakąś pochwałę cnoty małżeńskiej pana Fryderyka, wtem on sam wbiegł uradowany z butelką wina. Oczy mu się iskrzyły z radości, że się na coś przydał. Szybko wypłukał dwie szklanki (nieznacznie postawiłem na stole trzecią), z tryumfem zapalił podane cygaro, i we troje przy szklenicy zasiedliśmy do pogadanki o zarobkach pana majstra i pani majstrowej, która w dni targowe zasiada na rynku przy straganie z ogrodowiną, o sukcesji, która ma spaść na nich, o czem już są zawiadomieni z *gerychtu* w Berlinie. Nakoniec miała wracać po raz setny na plac historja o chorobie i śmierci ukochanej córki, gdy zegar wybił dwunastą. Odszedłem, pożegnawszy gospodarzy, życząc im z serca, aby się sprawa o spadek szczęśliwie powiodła, raz, że istotnie p. Fryderyk swoją poczciwością zasłużył na los lepszy, powtóre, że gdy zbogacieją i wyniosą się do Berlina, jak mają zamiar, będzie mniej jednym niemcem w Poznaniu.

Nazajutrz o godz. 6-ej byłem już na

nogach. P. majstrowa, wywzajemniając się za wczorajsze wino, przyniosła mi kawę; buty już były oczyszczone. Szelest hebla nie dochodził mię z dołu, co znaczyło, że p. Fryderyk nie jest w swojej pracowni, lecz że mię chce osobiście pożegnać.

Trochę rozrzewniony dobrocią prostych ludzi i porządnie wygderany przez p. majstrową za parę zgubionych chustek, których się nie doliczyła w moim saku podróżnym, pożegnałem gospodarzy, śpiesząc do Bazaru, gdzie p. Karol Karśnicki już mię czekał. Żółta pruska karetka pocztowa stała już w gotowości. Jeszcze ostatnie spojrzenie pożegnalne na Poznań — i jużem w drodze.

Wymijamy Stary Rynek, rzekę Wartę, katedrę, Cybinę, bramę fortyfikacyjną i ruszamy bitym gościńcem, który na Kostrzyn i Wrześnię prowadzi do granicy Królestwa Polskiego przy Słupcach.

Widok, jak wszystkie wielkopolskie, nieurozmaicony. Zakryta landara nie daje czynić postrzeżeń, ale sowicie za to zo-

stałem wynagrodzony miłą rozmową towarzysza podróży. Człowiek wielkiego rozumu i serca, który w życiu wiele widział, doświadczył i działał, opowiadał mi tysiące rzeczy o ludziach i wypadkach, o których zawsześmy słyszeć ciekawi. Zawsze się stawił na drugim i trzecim planie, lecz było znaczno, że skromność jego nie dozwalała mu przedstawiać rzeczy, jak były. To jednało cześć i wiarę w jego słowa. Świeżo osiadły w Księstwie, cnotami obywatelskiemi zjednał dla się miłość i ufność u ziomków obywateli, a oddawszy się rolnictwu, prędko się wtajemniczył w życie obywateli i ludu. Błogosławiłem dobrym losom, że nastręczyły mi tak zacne towarzystwo.

Parę wiosek, rozrzuconych na polu pojedynczemi chatami, minęliśmy po drodze. Towarzysz opowiadał mi, że jest to zwykły system osadzania przez rząd pruski włościan już separowanych t. j. tych, których ustał z obywatelem pańszczyźniany stosunek, a którzy albo już są właści-

cielami gruntu, albo jeszcze, jako czynszownicy, powolnie wypłacają jego szacunek. Wieśniak wielkopolski, przerwawszy z dziedzicem stosunek pańszczyźniany, nie przestał być jego dobrym sąsiadem i rad idzie do dawnego pana po poradę i opiekę, której ten chętnie udziela. Obywatele płacą robotnika gotowizną, lecz żaden się nie uskarża, aby mu źle z tem było. Owszem, majątki, przy dobrze rozwiniętem gospodarstwie, są intratne, lubo fortuny szlacheckie w znacznej części są odłużone. Ale przyczyna tego nie leży w zmianie stosunków dominjalnych, lecz trochę dalej, a może (wyznajmy prawdę) i zbytek szlachty, mniej oględnej, przyczynia się do złego stanu ich fortun. Ludność polska wyrzeka na wciskanie się niemców do posiadłości ziemskich; co może, czyni, aby temu zapobiedz; zdobywa się nawet na szlachetną w tej mierze solidarność, a przecież daje się pobić własnym orężem, stawi się w ciągłej potrzebie pożyczek pie-

nieżnych, za któremi idą niewypłaty, a potem przejście dóbr do niemców.

Tak gawędząc o żywotnych zadaniach tutejszych, przejechaliśmy, nie zatrzymując się w niem, miasteczko Swarzędź, gniazdo rodu Grzymalczyków, pamiętne z ich zatargów z Nałęczami. Erygował je jeden z Grzymalczyków, Grudziński, wojewoda kaliski, którego potomkowie dotąd tu kwitną. Miejsce to pamiętne jest komiczną uroczystością, jaką żydzi tutejsi wyprawili Napoleonowi I. Opisał to zdarzenie nieodżałowany August Wilkoński w wybornych „Ramotkach".

Okolice Swarzędzia są bardziej urozmaicone. Ciągnie się nieopodal długie, piękne jezioro; po drodze wznoszą się wzgórki i lasy, co mi rzewnie przypominało okolice Wilna.

Po godzinie jazdy ze Swarzędzia poczty1jon uderzył w trąbkę: jesteśmy w miasteczku Kostrzynie. Jest to, równie jak Swarzędź, mieścina schludna z kościołem staroświeckim. Ludność żydowska trudni

się handlem, chrześcjańska uprawą roli.

Konie p. Karśnickiego, które miały nas zawieźć do Mystek (jego wioski, o trzy mile od Poznania położonej), czekały już nas na stacji w Kostrzynie. Rzucamy trakt pocztowy, a mamy się udać drogą prywatną.

Posiliwszy się w hotelu poblizkim, czekaliśmy na konie, gdy zbliżył się do nas poczciwej fizjognomji staruszek, prosząc o jałmużnę. Był to stary wiarus napoleoński, którego naiwne opowiadania mocno nas zajęły. Tu, w Wielkopolsce, mnóstwo znajdzie się wiarusów z rozmaitych epok. Włościanie dzielili los szlachty, przechodzili jedne ze szlachtą koleje doli, w obywatelach sąsiednich mają swoich dawnych oficerów, mają z nimi treść do pogadanek, i oto jeszcze jeden węzeł, jaki łączy lud tutejszy ze szlachtą: węzeł wspomnień żołnierskich.

Pomimo, żeśmy z Kostrzyna do wsi Mystek mieli drogę prostszą, uprzejmy gospodarz wolał jej nieco nałożyć, abyśmy

mogli obejrzeć starożytny Giecz czyli Gdecz, niegdyś potężny gród w Wielkopolsce, a dziś małą mieścinę. Z przyjemnością tem większą przyjąłem propozycję, że Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu świeżo zwróciło uwagę na ważność tej miejscowości, a wysłany z jego grona celem badań na miejscu p. Antoni Białecki na ostatniem walnem posiedzeniu Towarzystwa czytał zajmującą rozprawę o rezultacie swojej do Gdecza wycieczki. Z traktu więc bierzemy się na lewo i po półgodzinnej jeździe jesteśmy w Gieczu.

Dwór, wioska, rozciągnięta daleko, ocieniona drzewami, okop, widny od drogi, dwa kościołki, para młynów wietrznych — oto wszystko, co zostało z dawnego Giecza. A przecież od XI do XV niemal wieku było tu ogromne miasto w całem znaczeniu wyrazu. Mieszkał tu Przemysław II; tu, jak niesie podanie, miała jęczeć w więzieniu jego nieszczęśliwa żona Ludgarda, nim śmiercią tragiczną przypłaciła rzeczywiste czy mniemane prze-

winienia. Następnie otrzymał Giecz od Przemysława jego powiernik ks. Tilon, który jeździł w poselstwie do Szwecji po drugą żonę książęciu, Ryksę. Było to w r. 1286, i od tej epoki miasto poczęło się szczycić prawem magdeburskiem.

Kościołek tutejszy, fantastycznie z głazów granitu i piaskowca zbudowany, należący do najdawniejszych świątyń w Polsce, ma legendę cudowną, przywiązaną do swoich murów. Według niej, w odległej starożytności mieli te mury wznieść aniołowie w ciągu jednej nocy. Tylko świtająca jutrznia nie dozwoliła im drzwi dokończyć i sprowadzić na bramę ogromny głaz, który leżał jeszcze niedawno na polu sąsiedniem i miał podobno wycisk stopy dziecinnej. Wreszcie potrzaskano go na jakąś nowszą budowlę. Takie podanie krążyło od wieków o kościołku gdeckim, i tak je nam opowiadała staruszka, mieszkająca w pobliżu, z wyrazem prostoty i wiary, który się kazał szanować. Ale w tej chwili nadszedł zakrystjan dla otworzenia nam

Grodzisko pod Gieczem w 1859.

kościołka i oświadczył, że nic nie wie o tej anielskiej robocie, ani o kamieniu w polu, że on sam czynił poszukiwania na kamieniach kościelnych, czy niema daty założenia kościoła, ale ponieważ nie znalazł, więc „nic niewiadomo". Być nie mogło, aby kościelnik nie słyszał o legendzie, dookoła u ludu krążącej, ale chciał snadź w oczach podróżnych uchodzić za „mocnego ducha", który w gminne baśnie nie wierzy. Woleliśmy łatwowierną staruszkę...

Rzecz zadziwiająca i która mogła dać powód do przypisania aniołom tej fundacji, że pomiędzy głazami granitu, stanowiącego mur kościelny, są bryły piaskowca, którego w tej stronie wcale nie masz. Mógł się znajdować przed laty, albo zdaleka być tu przywleczonym przez budujących kościół jeńców wojennych, na których barki, według dawnego obyczaju, nie wahano się wkładać największych ciężarów.

Ubogi wewnątrz kościołek nic nie ma w sobie, przypominającego głęboką starożytność. Skromne jej sprzęty i ozdoby są

z pierwszej połowy XVIII wieku; jedynie o wiek starszym zdaje się być zawieszony w presbiterjum portret jakiejś matrony w stroju zaknonic św. Dominika, może fundatorki czy benefaktorki teraźniejszego kościoła.

Starszym jeszcze od kościołka jest okop, niedaleko stąd leżący, pomiędzy błotami, mający około 200 łokci średnicy. Te błota, jak pamięć starych ludzi i badania miejscowe dowodzą, były fosą, otaczającą wał grodu gdeckiego. Miejsce to zowie się Grodiszczko.

Jasne podanie u kronikarzy mówi, że to miejsce zdobył w r. 1039 książę czeski Brzetysław i wyrznął część ludności, a resztę uprowadził w niewolę. Kasztelanowie i starostowie zamków pobliskich, którzy się schronili, poszli do Czech w niewolę, jak prości kmiecie, trzebić lasy i zakładać nowe osady w Czechach. Miejsce, gdzie kolonizowano jeńców polskich, zwane Cyrnin, przezwano odtąd Gieczanami.

Nieopodal posady dawnego grodu

zbudowano później kościołek drewniany, a przy nim plebanję. Proboszczowie założyli tu śliczny ogródek, na wałach twierdzy piastowej posadzili płonki owocowe i zasieli kwiaty. Błogo tu być musi mieszkać śród ciszy wiejskiej, wobec pięknej natury i starych wspomnień przeszłości, z ludem poczciwym i wierzącym, w miejscu, nad którem ulata legenda o aniołach, budujących świątynię.

Nie było w domu proboszcza, któryby nam pokazał wewnątrz kościołek drewniany na Grodziszczku. Pojechaliśmy więc dalej, zwiedziwszy po drodze, za majętnością Targowa Góra, las należący do wsi Dzierzchnicy, w którym są szczęty kamiennego grodu obronnego, daleko rozciągające się w różnych kierunkach. Jeszcze pamiętają, kiedy te ściany dochodziły wysokości człowieka; dziś kamień zabrano na inne potrzeby, a nad fundamentami Towarzystwo przyjaciół nauk rozpoczęło poszukiwania archeologiczne. Ma się tu znajdować mnóstwo węży; może kopiąc

w kierunku ich nór, zdołanoby się dokopać do jaskiń podziemnych i lochów, bez których nie było zamków starożytnych.

Ocalała dawna nazwa tych ruin — Górzno. Zamek gorzeński wchodził niewątpliwie w systemat fortyfikacji ogólnych starego Gdecza.

Mieliśmy już siadać do powozu, kiedy posłyszałem śpiew ptaszka, podobny do słowika, a jednak się różniący tonami, których nie słyszałem na Litwie. Spytałem towarzysza, co to za ptaszek. Odpowiedział mi, że jest żółty, wielkości szpaka, a zowie się u ludu wielkopolskiego „boguwola". Nazwa ta ma stąd pochodzić, że w śpiewie ptaszka lud dosłuchał się takich wyrazów: „Bogu — wola, chłopu — rola, panu — czynsz". Lud zrobił z tego piosnkę, śpiewa ją w całej Wielkopolsce, jako wyborną treść kwestji włościańskiej, a ptaszka przezwał „boguwolą" *).

*) Nazwa naukowa — wilga *(oriola galbula)*. *(P. W.)*

Niech naturaliści, jak chcą, przezywają śpiewaka wielkopolskich lasów; mnie się nad wszystko podoba jego tutejsza ludowa nazwa.

O godz. 1-ej po południu przybyliśmy do wsi Mystek, gdzie mię czekała kilkodniowa miła gościna, przeplatana zajmującemi dla mnie wycieczkami w strony okoliczne.

Zacna wielkopolska ziemia na każdej kwadratowej mili ma tyle zajmujących pamiątek; zacni tutejsi ludzie wszystko mi ułatwiają do ich obejrzenia tak, że zaledwie zdążę ponotować to wieczorem, co w ciągu dnia zwiedzę.

VI.

WINNOGÓRA. — PAMIĘĆ O JENERALE DĄBROWSKIM. — MIŁOSŁAW.

Nazajutrz z zacną rodziną p. Karśnickiego postanowiliśmy zwiedzić niedaleko stąd położoną majętność Winnogórę i miasteczko Miłosław, którego dziedzic, Seweryn hr. Mielżyński*), zaprosił mię na kilkudniowy pobyt. Nim skorzystam z uprzejmego wezwania, pierwej, jako gość

---

*) Seweryn hr. Mielżyński (*1805 †1873 r.), pospołu z braćmi Maciejem i Ignacym walczył w r. 1831, brał wybitny udział w wydarzeniach poznańskich i berlińskich 1846—1848 r., wreszcie osiadł w Miłosławię. Wysoce ukształcony, znawca i miłośnik sztuk pięknych, zakupił dom dla Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu i piękne zbiory swoje jemuż podarował. *(P. W.)*

Seweryn hr. Mielżyński.

chwilowy, postanowiłem odwiedzić dom państwa Mielżyńskich, słynny w okolicy z gościnności i wysokich cnót obywatelskich.

Jedziemy więc do Winnogóry, położonej o milę na północ od Mystek, krajem jednostajnym, polistym, mimo wsi Murzynowo Kościelne.

Pod Winnogórą widok się urozmaica, a sama posiadłość, t. j. wieś z kościołem i dwór leżą na pięknych wzgórkach, w wianku drzew, wśród ładnego parku nad wodą. Włość tę, wartującą około 2,000,000 złp., Napoleon I nadał niegdyś jenerałowi Henrykowi Dąbrowskiemu, niezapomnianemu twórcy legjonów, uczestnikowi bohaterskich wypraw, ściśle złączonych z losem owoczesnej Polski. Tu, w winnogórskim kościele spoczywają jego zwłoki.

Zobaczę grób Dąbrowskiego!

Pomnik na grobie takiego męża jest narodowym pomnikiem. Sądząc po czci, jaką mają wielkopolanie ku wszystkiemu, co swoje, byłem pewny, że tu znajdę na-

grobek, jeżeli niedosyć wspaniale odpowiadający chwale i zasługom bohatera, to przynajmniej taki, któryby mógł ostrzedz przechodnia, że stąpa po zwłokach wielkiego człowieka: *Sta, viatar! Heroem calcas!**).

Serce mi się ścisnęło na wiadomość, że Dąbrowski na grobie swoim nietylko pomnika, ale nie ma nawet napisu, że trumna jego znajduje się w sklepie tak wilgotnym i zapowietrzonym, iż, chcąc do niego wejść, należy trzema dniami naprzód go przewietrzać...

Oburzenie, jakie towarzysz podróży dostrzedz na mojej twarzy, zdało się dla niego ciężkim wyrzutem. Objaśnił mię, że wielkopolanie dawno już czuli, co winni narodowemu długowi, i ofiarowali się ze składką, lecz że nieprzyjście do skutku pomnika przypisać należy przyczynom, od nich niezależnym, a najgłówniej obojętności tych, którzy, otrzymawszy posiadłość po Dąbrowskim, nie mogą, czy nie chcą

---

*) Stój, wędrowcze! Bohatera spotykasz! (*P. W.*)

wywiązać się z obowiązku, z prostego obowiązku — synowstwa.

Niech naród stawi pomniki zasłużonym — to rzecz narodu; ale nie pojmuję, jak może się wymawiać od postawienia nagrobka ojcu syn, który odziedziczył po nim miljonową fortunę.

Nie waham się publicznie ukazać na winnych, bo wina ich jest publiczna*).

Jenerał Dąbrowski zasłużył u tutejszego ludu na rzewne wspomnienie. Sam też kochał tych, którzy go otaczali: wiarusów, włościan, sługi domu. Na zewnętrznej ścianie kościoła w Winnogórze położył nagrobek swojemu staremu słudze, który wypisałem:

Gottlieb Kiersz, wierny sługa Wojewody, Generała Henryka Dąbrowskiego,

---

*) Dzięki oburzeniu Kondratowicza, zajęło się tą sprawą świeżo, w r. 1857 zawiązane Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu. Wybrana przezeń komisja, pod gorliwem przewodnictwem Seweryna hr. Mielżyńskiego, postawiła w Winnej Górze kaplicę pomnikową dla zwłok bohatera. Budowę jej ukończono w r. 1863. *(P. W.)*

po 30-letniej służbie, umarł d. 26 lutego 1817 w Winnogórze. Żył lat 67.

Żona organisty, piękny, a coraz bardziej zacierający się typ starej sługi domu, ze łzami opowiadała nam ostatnie chwile jenerała, który, przywieziony z Warszawy do Winnogóry, po dwóch dniach tu życia dokonał. Mówiła o tem, jako o wypadku wczorajszym, lubo zgon jenerała, jak wiadomo, nastąpił d. 6 czerwca 1818 r., ni mniej, ni więcej, jak przed laty czterdziestu.

Zacna kobieta uniewinniała, jak umiała, tych, do których, z obowiązków krwi, należało wzniesienie pomnika jenerałowi, a chociaż było znaczno, że dzieli nasze przekonania, poczciwa niewiasta, nie śmiejąc głośno do tego się przyznać, potakiwała nam niemem kiwaniem głowy.

— Tak, tak, panie — mówiła. — A wszystkiemu winien sam jenerał, bo gdyby jeszcze sześć lat pożył, inne dałby wychowanie... A wtedy...

Szanowaliśmy cześć zacnej żony or-

ganisty, jaką miała dla krwi swych dawnych panów, i w milczeniu rozpatrzyliśmy kościół, straciwszy na dziś nadzieję widzenia zwłok Dąbrowskiego.

Kościół w Winnogórze, niewiadomo kiedy pierwiastkowo fundowany, odnowiony w r. 1766, nie posiada zresztą rzeczy, godnych obudzać ciekawość. Trzy obrazy są jedynie godne zająć uwagę. Pierwszym jest portret księcia Teodora Czartoryskiego, biskupa poznańskiego, którego napis nazywa powtórnym fundatorem kościoła.

Dwa inne, w bocznych ołtarzach, obrazy, penzla Gładysza *), pod względem sztuki niepospolite, zajęły naszą uwagę. Obraz po prawej ręce wyobraża św. Kunegundę, rzucającą pierścień w to miejsce, gdzie się miały otworzyć kopalnie soli w Wieliczce. Po lewej zaś, w ołtarzu, jest batalja dobrze skomponowana pod względem malarskim, nad którą unosi się św.

*) Jan Gładysz, artysta malarz, urodzony w Poznaniu około r. 1762, zmarły w Warszawie w r. 1830. *(P. W.)*

Kazimierz. Różne są domysły o tym obrazie. Nie miałem czasu odszukać znanej legendy z czasów wojen Polski z Moskwą za Zygmunta I (gdzie nad wojskiem polskiem widziany św. Kazimierz miał dopomódz do wygranej), ale zdaje mi się, że właśnie tę legendę obraz przedstawia. Nie śmiemy wszakże na niedosyć wierną pamięć naszą brać odpowiedzialności za ten wniosek. Miejscowa tradycja, lub ślad w aktach kościoła może go przyjmą lub odrzucą.

Opuściwszy kościół, zwiedziliśmy nieopodal ztąd położony cmentarz parafjalny, zielskiem zarosły, mający kilka nagrobków dystyngowańszej szlachty, a zresztą groby ludu wiejskiego, proste w piasku łóżko wielkopolskiego chłopa na wieczny odpoczynek.

Zaprowadzono mię do nagrobka, odznaczającego się piękną prostotą, do mogiły człowieka z gminu, który, jako stary wiarus, niedawno zgasły, u panów cześć, a u ludu miał miłość. Nagrobek jego jest

prostym krzyżem z piaskowca. W środku krzyża znajduje się biust w płaskorzeźbie starego wiarusa, jak zaręczają, pełny trafnej prawdy, wykonany przez Dmochowskiego, rzeźbiarza polskiego, bawiącego obecnie w Ameryce. Dokoła biustu jest napis.

Stanisław Gruntowy, urodzony 1775, umarł 1851 roku

przy samym biuście drobnemi literami napis·

Maciejowice 1794 — Miłosław 1847.

Chciałem złożyć me uszanowanie we dworze winnogórskim, ale dziedzic dzisiejszy, syn jenerała Dąbrowskiego (Bronisław), znajdował się w Poznaniu, na wyścigach konnych.

Pozwoliliśmy sobie obejrzeć pałac, a głównie zobaczyć portret jenerała Dąbrowskiego, będący w głównym salonie. Portret utrzymany licho. Dąbrowski w swej postaci wcale nie był podobny do jego ideału, jaki w myślach od dzieciństwa wypieściłem. Twarz pełna, płaska; nie ma

wąsów, tej niezbędnej ozdoby legjonisty; nosił je dopiero pod koniec życia i umarł— z wąsami, bo go tak w parę dni później widziałem w trumnie, w winnogórskim kościele.

Po pałacu oprowadzał nas jeszcze jeden stary sługa domu, chłop Andrzej Polarski, który, ze schyleniem ręki do kolan (gest, właściwy wielkopolanom), opowiadał nam o jenerale, dodając, że on sam już od pięćdziesięciu przeszło lat zostaje na usługach domu. Wspominał o drugim swoim koledze, Wojciechu Krakowskim, który, mając 68 lat, pełni we dworze obowiązki kucharza. Jenerał był człowiekiem starej daty—lubił się otaczać starymi sługami. Takiejże faryny miał ekonoma, o którym zapomniałem spytać, czy żyje dotąd.

Zacna organiścina, która nas oprowadzała po kościele, trzydziestoletni sługa Gotlib Kiersz, pochowany pod kościołem, wiarus z pod Maciejowic, Stanisław Gruntowy, uczczony nagrobkiem na cmentarzu,

ze składek wzniesionym, stary Andrzej Polarski i kolega jego, Wojciech Krakowski — jużby by mi swym widokiem powiedzieli, że jenerał Dąbrowski był niepospolitym człowiek, chociażbym o nim nie wiedział skądinąd, że był bohaterem.

Z cmentarza uszedłszy kilkanaście kroków, jesteśmy w lesie... Mój Boże! Czy to jestem w Wielkopolsce, czy w kochachanem Wilnie, w Zakrecie? Las sosnowy, rzadki; piętrzy się pagórek przy pagórku — wszystkie, w bezgórnej Wielkopolsce, grzecznie nazwane: górami. Takież same sosny szumią nad głową; takież same mchy i kwiatki u nóg się ścielą... Tylko nie masz tych ludzi, z którymi w piękniejsze dni życia przechadzałem się po Zakrecie... chociaż zresztą żyją oni i dotąd, ale już nie tacy, już to nie moi.

Nowa niespodzianka nękała mię, gdym się wdrapał na najwyższy wzgórek... Winnica!

Moi bracia litwini dotąd może nie wiedzą, że Polska od lat niepamiętnych

miała swe winnice. W kronikarzach są o nich gęste wzmianki, a lubo wino polskie nie figurowało, jako napój, winne jednak grona krajowe, jako deser, odwiecznie były przysmakiem *).

Winnogóra, nadająca nazwisko całej włości, w wieku XIII słynęła już swojemi winnicami. Wcześniej jeszcze, bo w r. 1160, Henryk książę sandomierski nadał kawalerom św. Jana wsi nad rzeką Nidą, gdzie były winnice z dwoma winiarzami **). Kochanowski w środku XVI wieku każe czynić ofiarę Bogu z winogron:

Kiedy latem dojrzeją ogrody,
Wynalazcy w dań winne poniesiem jagody***)

Znajdujemy o winnicach polskich wzmianki z wieku XVIII, ale to wszystkie szczegóły, kiedy przerzucałem dziejo-

*) Winograd sadzono w Polsce głównie po to, by mieć czyste wino mszalne. (*P. W.*)

**) Edward hr. Raczyński, „Wspomnienia Wielkopolskie", 1842 — 1844 r., I, 120. *(P. A.)*

***) Elegja XIII, przekład z języka łacińskiego Kazimierza Brodzińskiego. *(P. A.)*

pisów i kronikarzy, jakoś słabo utkwiły mi w pamięci. Widziałem nieco, że Polska miała swe winnice, ale że je ma bez przerwy od najdawniejszych czasów aż dotąd, o tem się dowiedziałem dopiero tutaj, wstępując na szczyt Winnogóry.

Trzy potoczyste pagórki, od wschodu i północy zasłonione od wiatru, stanowią dzisiejszą winnicę, może trzy litewskie morgi mającą obszaru — szczątek sławnych w wieku XIII, obszernych winnogórskich winnic. Kilku wieśniaków przywiązywało latorośle do tyczek. Płonki winne już się szczyciły drobnym, żółtym kwiatkiem; towarzystwo, z którem przyjechałem, świadome wzrostu wina, wróżyło z tego kwiecia dobry urodzaj winogron.

Usiedliśmy na jednej z ławek w altanie. Chwilę odpoczęliśmy, chwilę rozpatrzyliśmy ładny widok, który mi się zdał bardziej podobnym do naszych litewskich, niż do wielkopolskich widoków, bo mieliśmy przed sobą błonie, wody, lasy i z poza drzem widniejące miasteczko, zupełnie

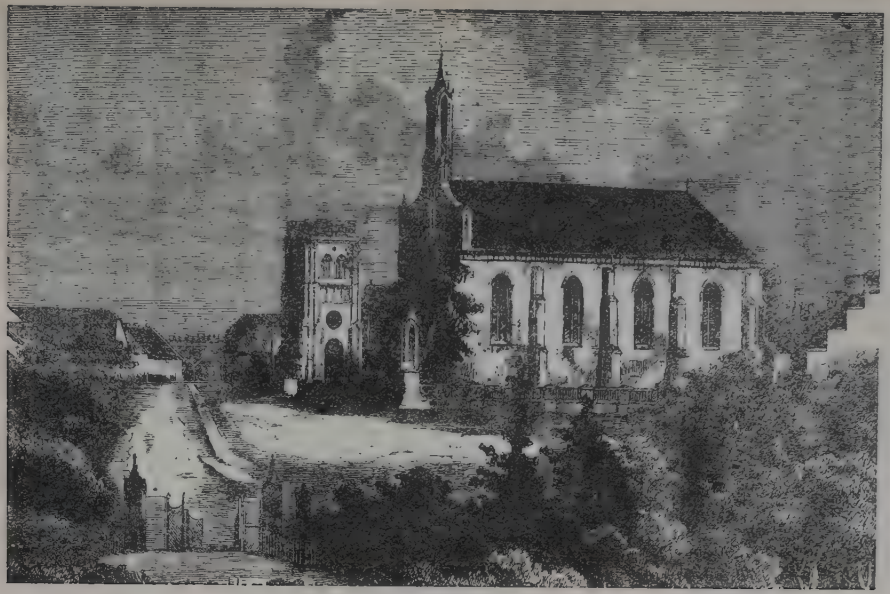

Kościół w Miłosławiu w r. 1864.

jak w niektórych stronach „moich niegdyś okolic“ w Mińskiem i Nowogródzkiem.

Wsiedliśmy do powozu. Dąbrowski... lekceważona jego pamięć... winnice polskie... wspomnienie Litwy — to wszystko tak zajęło moją wyobraźnię, że prawie potrzeba było mię budzić z rozmyślań, gdyśmy stanęli w Miłosławiu.

Przejechawszy dobrze zabudowane miasteczko, minąwszy kościół, świeżo w gotyckim stylu wzniesiony na pamiątkę niezbyt jeszcze dawnych wypadków, *) zajechaliśmy przed pałac miłosławski.

Bawiąc tu później, będę miał zręczność opisać tę posiadłość. Tymczasem to tylko winienem dodać, żeśmy serdecznie przyjęci, zabawili tu kilka godzin i, pełni miłych wrażeń, wrócili do Mystek o godz. 10-ej wieczorem.

---

*) Na pamiątkę zwycięstwa powstańców polskich nad wojskiem pruskiem w d. 30 kwietnia 1848 r. w bitwie pod Miłosławiem. (*P. W.*)

VII.

ŚRODA I JEJ ZABYTKI.

Dnia 3-go lipca zwiedziłem również o milę od Mystek położone, a będące stolicą powiatu, sławne niegdyś z wielkopolskich sejmików, miasteczko Środę.

Nie żałuję przejażdżki, bom ją odbył w przyjemnem i pouczającem towarzystwie mojego gospodarza, bom rzucił okiem na kawał wielkopolskiej ziemi, którą pokochałem całą duszą, bom się wzbogacił jednem więcej wspomnieniem — ale do kart mojego dziennika nie uzbierałem wiele materjału i z naocznego widzenia nie mogę wiele dodać nad to, co w „Starożytnej Polsce“ Balińskiego i Lipińskiego każdy wyczyta. Chociaż to powtórzę, bo czemże

są liche nasze mieściny bez historycznych wspomnień, które niskim dachom i zamszonym murom nadają istotną wartość.

Tu umarł w r. 1231 Władysław Laskonogi; tu, jak raz, we sto lat, ogień i miecz krzyżacki spustoszył piękne piastowe miasto; tu w r. 1423 Mikołaj z Kyk (*de Kyki*), archidjakon gnieźnieński, odnowił starożytny kościół; tu się odbywały przedsejmowe i relacyjne sejmiki z województw Poznańskiego i Kaliskiego; tu się szlachta zbierała na rycerskie okazowania; tu szwedzi przyszli za Jana Kazimierza, zniszczyli miasto i, rzec można, położyli koniec świetności, jaką miało za czasów jagiellońskich.

Widok na miasto nic nie ma bijącego w oczy. Przy drodze — kilka wietrznych młynów, które nadają fizjognomję wszystkim wielkopolskim miastom; przed nami — kupa czerwonych dachów wychyla się z zielonego wianka lip rozłożystych i topoli piramidalnych. Panuje nad niemi kościół, dziwnie uderzający zdaleka nie-

harmonją swojej struktury, z dachem wysokim, jak stóg siana, i piękną, czworograniastą wieżą gotycką bez kopuły.

Wjeżdża się w wąską ulicę, na której snują się żydzi (dawniej tu mieli pobyt wzbroniony) i błyszczą niemieckie napisy z zawiadomieniem, że oto winiarnia, cukiernia, restauracja. Dokoła szczupło i ubogo.

Dzięki mojemu uprzejmemu przewodnikowi, którego tu wszyscy znają i kochają, zapoznałem się z dwoma urzędnikami miejscowymi, którzy mi ułatwili obejrzenie kościoła, jedynej w Środzie rzeczy, godnej widzenia.

Szliśmy do cmentarza uliczką wąziuchną, która się zowie Senatorską, bo istotnie tędy przejeżdżali do kościoła na sejmik wysocy z dwu województw dygnitarze. Rzecz ciekawa: jak się tu mogły rozmijać ich kolaski? Drugim problematem, trudnym do rozwiązania, jest pytanie: jak na tym wąziutkim, omurowanym cmentarzu, mogły się pomieścić tłumy

sejmikującej szlachty, bo senatorowie obradowali w kościele, pod laską kasztelana międzyrzeckiego, który był gospodarzem sejmiku?

Co tu na tym cmentarzu było ruchu, tłoku, wrzasku! Jak było ciasno się rozmachać, gdy przyszło do szablicy, zwłaszcza, że około muru ławkami jeszcze zacieśniano miejsce!

Opowiadano mi anegdotę, która, jak zwykle anegdota, nie ma daty i szczegółów. Szlachcic Korytnicki, zaskoczony od stronników przeciwnej partji, sześciu braci Swiniarskich, widząc grozące *periculum* od sześciu szablic, przyparł się do framugi muru i krzyknął: „— Nie hurmem! nie hurmem! ale po jednemu świnie do koryta!“ Jakoż, tak ubezpieczony, walcząc pojedynkiem, wszystkim sześciu Swiniarskim poobcinał uszy.

Kościół, który, zdaleka widziany, raził nieharmonją swoich pojedynczych części, przedstawia aż trzy odmienne style, bo w istocie, jak mię zapewniano, takim,

jak jest, stanął w trzech odmiennych epokach. Jedna część, gdzie jest presbiterjum, datuje od XIV wieku. Środkowa — musi być z r. 1423, kiedy archidjakon Mikołaj rozszerzył kościół i postarał się o przyozdobienie go tytułem kolegjaty. Wieża zaś, owa śliczna, czworoboczna, gotycka, z delikatnemi, jak koronka, łukami, wieża — ma być z wieku XVI. W dzisiejszych czasach dobudowano dzwonnicę w stylu tejże wieży, która jednak na swoją małą wysokość grzeszy zbytnią miąższością.

Czekając, aż nam klucze przyniosą, obejrzeliśmy kościół zewnątrz. Tu zastanowił moją uwagę staroświecki, snadź grobowy pomnik z piaskowca, wmurowany w ścianę. Jest to na tafli kamiennej, w płaskorzeźbie, wieczera Pańska, odznaczająca się nie pięknością, ale naiwnością swej rzeźby, która do XIV lub XV wieku odnieść ją każe. Niemasz żadnego grupowania figur; apostołowie siedzą równolegle do siebie, jak żołnierze; św. Jan, śpiący na ramieniu Chrystusa, całą swą głowę, dziś

uszkodzoną, wychyla z kamiennej tafli. Chleb, talerze, czarki i noże wykonane z niepotrzebną dokładnością, stągwie z winem zdają się być przyczepione do obrusa.

Nad tą rzeźbą, w owalu, jest również rzeźbione popiersie człowieka z długą brodą, w koronie królewskiej, z ręką, bardzo dobrze wydłótowaną, która zdaje się błogosławić. Ciekawy ten pomnik wart rysunku i głębszego zbadania. Nam się na teraz zdaje, że może być w związku ze zgonem w Środzie Władysława Laskonogiego.

Wewnątrz kościół nie odznacza się starożytną fizjognomją, bo też u nas taki już obyczaj, że przerabiania i niesmaczne odnowy zacierają za każdym razem cechy staroświeckie.

Presbiterjum i wielki ołtarz z pięknym obrazem Najświętszej Panny są w nowym smaku. Inne obrazy, lichego penzla, muszą być z XVIII wieku. Z tejże epoki, albo starsze, są dosyć niezgrabne rzeźby na drzewie Chrystusa i aniołów i orna-

Kolegjata w Środzie w r. 1860.

menty ołtarzowe. Swoją naiwnością podobałyby się, jako starożytne zabytki; cóż? — kiedy je świeżutko pozłocono, a ta pozłota, tak niezgodna z naiwną rzeźbą dawniejszą, zalepiając charakterystykę rylca i rażąc oczy blaskiem, wywoływa mimowolne oburzenie na niezręcznych odnawiaczy.

W presbiterjum, nie pięknością roboty, ale staroświecką charakterystyką podoba się grobowiec rycerza, kuty z piaskowca, z napisem dokoła:

Hic jacet Ambrosius Pampowski palatinus siradensis

a na tafli obok twarzy rycerza wybity rok 1510.

Po prawej stronie kościoła, w okrągłej kaplicy, zwraca uwagę pięknej roboty, z czerwonego marmuru grobowiec. U dołu jest tablica ze śliczną ornamentacją; u góry niewiasta leżąca w stroju zakonnym, jak u nas zwykle matrony na śmierć ubierano. Są to grobowce dwóch żon Hieronima

Gostomskiego, wojewody poznańskiego. Jedna z nich, Anna z Ostroga, zmarła 1584 r.; druga, Urszula Sieniawska — 1590 r. Piękny ten pomnik wart troskliwego zachowania.

W innej kaplicy, także po prawej stronie, w ołtarzu, znakomitego penzla obraz ukrzyżowanego Chrystusa, jakby równoważąc lśniącą pozłotę rzeźb, jest pokryty, zamiast werniksu, grubą warstwą pyłu i kurzawy. Pomimo naszego zamiłowania do prochów starożytności, wyznajemy, że nie przypada jakoś kurz do malowidła, zwłaszcza, gdy to malowidło odznacza się, jako dzieło sztuki.

Nad wejściem z nawy kościoła do presbiterjum jest krucyfiks, umieszczony na drewnianej lamperji, na której znajduje się napis, wypukło rzeźbiony literami z XIV lub XV wieku, bardzo wyraźny i dobrze zachowany, ale którego, z powodu padającego zmroku i wysokiego umieszczenia, nie mogliśmy przeczytać.

Szperając starożytności po całym koś-

ciele, natrafiliśmy na chorągiew, nieosobliwie malowaną, z r. 1797. U stop Bogarodzicy ścielą się święci, rycerze i osoby w szatach dygnitarzy polskich, a u spodu jest widok miasta Środy w stanie ówczesnym lub może wcześniejszym, bo myśli tego obrazu nie mogliśmy odgadnąć. Kościół parafjalny ma tę samą, co teraz, postać, ale na obrazie znajduje się dziś nieistniejący kościół dominikanów (fundowany przez któregoś z biskupów chełmińskich w r. 1479), oraz mur obwodowy miasta, którego ledwie szczątki i gruzy widzieliśmy przy cmentarzu kościelnym.

Oprócz katolickiego, jest tu jeszcze kościół protestancki i synagoga żydowska.

Z czasów sejmikowych w Środzie pozostały jedyne może w swoim rodzaju pamiątki, świadczące o burzliwem tutaj obradowaniu. Była np. klatka żelazna, w której dla bezpieczeństwa zamykano pisarza, gdy miał pisać protestacje i manifesty. Szlachta partji, nieprzyjaznej manifestującym, z szablami napadała na nic

niewinnego podpiska i gdyby nie kraty żelazne, mogłaby go zarąbać. Nie widziałem tego ciekawego zabytku, ale starcy, najgodniejsi wiary, z tutejszego obywatelstwa, zapewniali mię, że ją widzieli naocznie.

Widziałem za to, złożony na ratuszu (dawniej w zakrystji kościelnej będący), inny zabytek sejmikowy. Są to zwyczajne cepy młocarskie, żelazem kute, złożone z dwu czworograniastych kijów. Temi kijami rozpędzano bijącą się szlachtę. Do starosty średzkiego należało utrzymanie porządku na sejmikach. Używał do tego pachołków sądowych albo poprostu okolicznych wieśniaków. A że chłopom nie godziło się używać szabli, cepami przeto, jako bronią rolniczą, najprzyzwoitszą ich „nieurodzonym“ rękom, grzmotali po „urodzonych“ głowach średzkich sejmikowiczów.

Ciekawe być muszą zabytki piśmienne z rozmaitych czasów sejmikowania w Środzie. Szanowni urzędnicy, panowie T.

i K., którzy nas oprowadzali po kościele, uprzejmie ofiarowali mi ułatwienie wstępu do tutejszego archiwum. Przelotny podróżnik, nie mogłem korzystać z ich uczynności, ale dla miejscowych badaczów archiwum średzkie dostarczyć może wielu bardzo ciekawych materjałów historycznych.

Autentyczna, zapleśniała butelka upodobanego ojcom naszym *hungaricum* zakończyła w poblizkim od kościoła hotelu nasze poszukiwania archeologiczne. Tu nam się najlepiej powiodło. Sumiennie więc wyczerpawszy przedmiot, a lękając się, aby nie przyszło do większej ochoty, gdyż się zeszło kilku ze szlachty, znanych, jako zuchów do kielicha — zręczniśmy się wycofali.

Drobny deszczyk towarzyszył nam do Mystek — pożądany dar nieba na spalone tutejsze niwy, które deszczu oddawna nie widziały.

Co tam u nas — na Litwie?...

VIII.

GRÓB JEN. DĄBROWSKIEGO. — WYPRAWA KU GNIEZNU.

Nazajutrz, jako w dzień niedzielny, postanowiłem wysłuchać mszy świętej w bliziutko od Mystek będącym kościele w Targowej Górce.

Od rana w domu panował ruch i gwar ludu, bo tutaj obywatele tygodniowo wypłacają włości za jej prace. Tu miałem nowy powód budować się patryarchalnemi stosunkami obywatela z ludem, pomimo, że ten ostatni, nie będąc już na stopie pańszczyźnianej, nie ma, rzecz można, z dworem, stosunków zależności. Policyjną część włościańskiego zarządu wykonywa tu sołtys, wybrany od rządu albo

z pomiędzy lepszych włościan, lub z obywateli, lub nawet z drobniejszej szlachty nieosiadłej...

. . . . . .

Jen. Henryk Dąbrowski.

W poniedziałek doszła wiadomość, że uprzejmy pleban z Winnogóry, dowiedziawszy się o chęci zwiedzania grobu Dąbrowskiego, kazał otworzyć i przewie-

trzyć sklep, gdzie leżą zwłoki zasłużonego wodza legjonów.

Korzystając z tej uprzejmości, pojechaliśmy rankiem z Miłosławia do Winnogóry.

Po lewej stronie kościoła jest wejście do małego, podziemnego sklepiku, gdzie spoczywa jenerał wespół z kilku członkami swej rodziny.

Żaden nawet napis na trumnie nie wskazywał, gdzie go szukać. Z mozołem otworzyliśmy jedną trumnę, ale w niej, jak ze szczątków ubioru mogliśmy wnosić, była — kobieta.

Za drugim razem byliśmy szczęśliwsi. Oglądałem dostojne zwłoki, na których śmierć i czterdzieści lat złożenia w wilgotnym sklepie wycisnęły ogromne piętno różnicy od portretu, który przed kilku dniami w pałacu widziałem. Twarz jenerała była pełna; tu — zeszczuplał do niepoznania. Różnica była tem większa, że zmarły w ostatnich latach życia zapuścił

rycerskie wąsy, których nie nosił przez cały ciąg swojego świetnego zawodu.

Nie uległ zniszczeniu kapelusz; można jeszcze rozróżnić barwę munduru i wyłogów. Reszta odzienia zbutwiała.

Wziąłem, jako relikwiję, szmat sukna...

. . . . . .

We wtorek przyszła do skutku zamierzona wyprawa (z Miłosławia), celem zwiedzenia wschodniej części Wielkopolski, a przynajmniej miejsc, w niej najświętszych dla narodowej pamięci.

Rojąc, że zobaczę na własne oczy Gniezno, Kruszwicę, Trzemeszno, Mogiłę (*Clara Tumba*), nie spodziewałem się, jak Kolumb, odkryć Ameryki, ani nawet, skromniejszy w żądaniach, nie pochlebiałem sobie, że, jak Aleksander Dumas, odkryję morze Śródziemne. Dosyć dla mojej próżności było pomyśleć, że ziomkom z dalszych prowincji odkryję na nowo Gopło, przypomnę im, że nad niem leży

Kruszwica, że, przelawszy na papier łzę, co mi się u grobu św. Wojciecha stoczy, zachęcę innych, aby odbyli pielgrzymkę do tego grobu, aby posłuchali i zawtórowali pieśni „Bogarodzica", że przywiozę stamtąd garsteczkę ziemi, deptanej stopami świętych, chrobrych i sprawiedliwych, cegłę, ich rękami włożoną w mury świątyń, podzielę się wrażeniami, których miałem pełne piersi.

Wyprawa ta, nawet jako zwyczajna podróż, obiecywała niemało przyjemności. Dzień był piękny, powozy wygodne, gromadka wesoła i ożywiona, chciwa poznania kraju i wrażeń, kilka pomocniczych książek, w powozie butelina *hungaricum*, dobre cygaro w ustach—słowem wszystko, czego potrzeba do uprzyjemnienia kilku dni podróży w stronie mi nieznanej.

Gospodarz Miłosławia z powodu cierpienia towarzyszyć nam nie mógł. Zastąpić go, jako przewodnik, podjął się zacny plaban miłosławski, ks. Tułodziecki, do-

brze obeznany z Wielkopolską, bo ją niegdyś nawet, jako żołnierz, przechodził.

Młodzi literaci: Kazimierz Szulc i Antoni Białecki, którzy wczoraj przybyli z Poznania, celem zbierania plonów archeologicznych, byli już do podróży gotowi. Nietyle o rozgłos literacki, ile troskliwa o rzetelne poznanie naukowe kraju pod wszelkiemi względami, młodzież tutejsza chętnie ima się każdej ku temu sposobności. Towarzystwo przyjaciół nauk, tak pełne życia, lubo jeszcze tak młodociane, obudza i rozwija ten szlachetny pochop, a chętna pomoc, jaką tu każdy niesie pracującym, czyni ich pracę korzystną i nader miłą.

We Wrześni, małem mieście powiatowem, liczącem z górą 3,000 mieszkańców, a o milę od Miłosławia odległem, czekał nas z dobrem śniadaniem nowy towarzysz, a raczej naczelnik naszej małej ekspedycji, zacny dziedzic Mystek. Mówię: „naczelnik", bo ten tytuł i urząd należały mu z wieku, doświadczenia i zna-

jomości całej Wielkopolski. Nie mieliśmy prawa użalać się na jego surową dyktaturę, prócz, że nas budził o godz. 6-ej zrana, kiedyśmy potrzebowali orzeźwić zmęczone ciało i skupić w sennych marzeniach przeszłodniowe wrażenia.

Lekko skarciwszy nas za opóźnienie, którego (prawdę rzekłszy) ja byłem powodem, dawszy wytchnąć koniom, a nam posilić się śniadaniem, szanowny dowódca dał hasło do drogi. Musimy wcześnie stanąć w Gnieźnie, bo tam wiele mamy do obejrzenia.

Trzech mil drogi, którą przebywamy, nic nie urozmaica. Dokoła płaszczyzna, która tylko pod samą Wrześnią zachyla się w lekkie wzgórza; droga wyborna, osadzona topolami; chałupy lepione i pobielane; gdzie niegdzie jeden lub kilka młynów wietrznych— to cała charakterystyka kraju.

Na pół drogi miasteczko Czerniejewo, pamiętne urodzeniem tu Onufrego Kopczyńskiego, ma kościół katolicki, jak

wieść niesie, założony jeszcze przez Władysława Hermana, zbór luterański i synagogę żydowską.

Nie zdaje się, aby tu była potrzeba tak gęstych zborów luterańskich; ludność tutejsza, szlachecka i włościańska, składa się *jeszcze* wyłącznie niemal z katolików...

. . . . . .

IX.

GNIEZNO. — TRZEMESZNO.

Gniezno! gniazdo lechitów! Kiedy [twoje wieże
Dalekiego pielgrzyma źrenica dostrzeże,
Serce bije gwałtownie, głowa mu się mroczy
I łza niespodziewana nabiega na oczy.
Gniezno — skąd rój, w piastowskim wy- [chowany ulu,
Osiadł na nowej barci przy matce, przy [królu,
A potem się rozleciał szeroko, daleko,
Siadł nie nad jedną górą, nie nad jedną [rzeką,
Ale gdziekolwiek zlepił plastr miodu i wosku,
Z Gniezna błogosławieństwa prosił po sy- [nowsku.

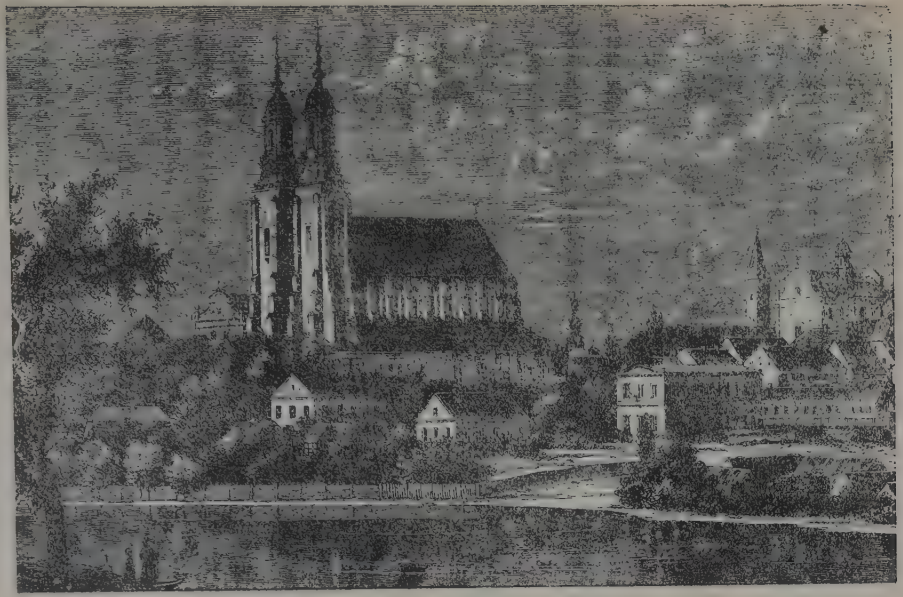

Katedra w Gnieźnie w r. 1864.

A chociaż rój swawolny czasem się rozhula,
Potem się opamięta i wybierze króla,
Póty za matkę barci, za pana go nie zna,
Póki jej nie przeżegna wielki bartnik
[z Gniezna.
Nasi Chrobrzy i Wielcy, nasi władcy
[starzy
Brali swoją potęgę z gnieźnieńskich ołtarzy,
Wierząc, że gdy namaszczą gnieźnieńscy
[pasterze;
Korona więcej blasku, miecz—hartu nabie-
[rze.

Wy, maściciele królów, wy, praw
święci stróże!
Pozdrawiam wasze twarze, wykute w mar-
murze,
Ze czcią czytam nagrobków staroświeckie
[głoski,
A kolano się zgina, kiedy wzrok synowski
Zdoła wyczytać imię, otoczone chwałą,
Co się tęczowem pasmem w dziejach wy-
[pisało.

I znów dalej i dalej błędne oczy wiodę;
Patrzę na drugą postać, na poważną brodę;
Chciałbym kamiennych źrenic znurtować [głębinie—
Lecz czy to marmur spotniał, czy łza [z głazu płynie?
Czy łaskę przepowiada, czyli tchnie po- [kutą?
Jaką myśl na tej twarzy chciało zakuć [dłóto?
Czy ten uśmiech niebieski, co w oczy ude- [rza,
Może dla nas Pan przysłał przez usta pa- [sterza?
I czem jest ta prawica, wykuta z kamienia:
Znakiem błogosławieństwa albo odrzuce- [nia?
Trudno zgadnąć—a nie masz spytać u ni- [kogo...
A na sercu i rzewno, i straszno, i błogo...

Po filarach sklepistych, wśród kaplic [ołtarzy,
Oko spocząć nie może, a myśl dziwnie marzy,

To czarna, to promienna, to smutna, to
[słodka,
Jak z milszem lub smutniejszem wspom-
[nieniem się spotka,
Gdy przypomni jutrzniane albo chmurne
[dzieje,
Gdy się posąg rozjaśni, albo spochmurnieje.

Co nam włożył na czoła święty chryz-
mat wiary,
Najpierwszy pasterz Gniezna i nasz patron
[stary,
Wojciech, który nam przyniósł miłościwe
[lato,
Ma ołtarz wśród kościoła i trumnę bogatą.
To nasz pokrewny rodem, ojciec wedle ducha.
Pomódlcie się, słowianie!—on prośby wy-
[słucha,
On ją Bogarodzicy i Bogu przepowie
W przedwiekowej, słowiańskiej, stroświe-
[ckiej mowie.

Słyszycie, jak ojcowskiem słowem
[upomina:

„Już nam grzechów się kajać i czas, i go-
[dzina!
„Kaj się! Nad grzeszną duszą sam Bóg
[trzyma pieczę;
„Głos usłyszy i myśli napełni człowiecze,
„I spuści nam czas zbożny, i skróci mę-
[czarnie,
„I swe kmiecie, jak dzieci, do siebie przy-
[garnie,
„I w niebie nieśmiertelnem miejsca nam
[udzieli,
„Kędy królują święci, królują anieli".

Słowianie! pieśń Wojciecha, znajoma
[niebiosom,
Przyświecała, jak gwiazda, bohaterskim
[losom.
Gdy z piersi naszych hufców buchnęły jej
[tony,
Bóg uzbrajał te piersi w hart niezwycię-
[żony.
Dziś, choć z ludzkiej pamięci zeszła nuta
[święta,
Chór niebieskich aniołów może ją pamięta

I tymże samym tonem cześć Maryi czyni,
Co zabrzmiał po raz pierwszy w gnieźnieńskiej świątyni.

Z pieśnią w sercu, nadzieją i wiarą wzmocniony,
Od trumny Wojciechowej patrzę w dalsze strony.
Nie wedle lat porządku, lecz gdzie oko zmierzy,
Rozpatruję grobowce gnieźnieńskich pasterzy;
Czytam niejeden napis szeroki a długi,
Co wylicza zmarłego lata i zasługi.
Och! nie zamącić prawdy dobranemi słowy,
Inszy rylec grobowca, a inszy dziejowy:
Grobowiec wszystkich wieńczy nieśmiertelną chwałą,
Ale jednych za nadto, a drugich za mało...
. . . . . .

Zwiedziwszy resztkę zabytków w katedrze gnieźnieńskiej, gościnnie przyjęci przez jednego z prałatów, pełni podnio-

słych wrażeń, puściliśmy się w dalszą podróż. Mając na celu zwiedzenie pamiątek wielkopolskich, wcaleśmy się nie troszczyli o pośpiech w podróży. Ujechawszy przeto nie więcej, jak dwie mile pocztowe, stanęliśmy na popas w Trzemesznie.

Fundacja Mieczysława I, miejsce, gdzie Chrobry „pieśnią, sercem i usty" (jak się wyraża Długosz) witał wiezione z Prus zwłoki św. Wojciecha i gdzie blizko pół roku stały święte zwłoki, miejsce, skąd Jagiełło pieszo szedł do Gniezna dziękować Bogu i patronowi Polski za wygraną grunwaldzką; gdzie Czarniecki w r. 1656 poraził szwedów — zasługiwało na nasze pobożne uchylenie kolan.

Rozlokowawszy się w dosyć porządnym hotelu (bo Trzemeszno, lubo nie jest miastem powiatowem, liczy się wszakże do porządniejszych w Wielkopolsce z powodu swojego gimnazjum), wyszliśmy na zwiedzenie miejscowego kościoła, jak zawsze, licząc na łaskawą uprzejmość duchowieństwa.

Kościół, w wieku XVIII, na miejscu dawniejszego odbudowany, należący przez długi czas do kanoników regularnych, sprowadzonych tu przez Mieczysława I, uczynił mi swoją baniastą kopułą dalekie przypomnienie fary w Nieświeżu. Tylko, że gdy tamten podoba się swoją harmonją, pełną majestatu, trzemeski grzeszy zupełnym niemal brakiem stylu. Wewnątrz wrażenie się obudza. W środku kościoła, tak, jak w Gnieźnie, pomiędzy czterema pięknemi, z czerwonego marmuru, kolumnami jest ołtarz, a w nim, w srebrnej trumnie, są relikwije św. Wojciecha. W tem miejscu, jak chce mieć podanie, stała blisko półrocza trumna ze zwłokami apostoła, przed przewiezieniem jej do Gniezna. Ołtarze, obrazy i dalszy sprzęt kościelny nie zawierają nic bardziej zastanawiającego.

Uzbrojeni w ołówki i pugilaresy, łapczywem okiem szukaliśmy po ścianach nagrobków. Wzniesiono ich kilka dla miejscowych opatów. Najstarszy jest z r. 1534,

wzniesiony dla zmarłego wtedy opata Mielińskiego. Drugi w chronologicznym porządku jest grobowiec Marcina Starczewskiego ze środka XVII wieku. Starczewski był krewnym dwóch znakomitych biskupów: Macieja gnieźnieńskiego i Stanisława płockiego; godzi się więc przypuszczać, że dano mu opactwo przez protekcję tych mężów; to się nawet wyraźnie przebija w nagrobku, który nazywa Starczewskiego administratorem arcy-opactwa w Trzemesznie — więc może nawet nie był zakonnikiem. Trzeci z kolei jest grobowiec Michała Kosmowskiego, tutejszego opata (ur. 1725, zm. 1804 r.), którego imię, nieoddzielne od wspomnienia w Trzemesznie, jeszcze dzisiaj jest we wszystkich ustach. Czwartym nakoniec jest grobowiec, w bocznej kaplicy, ostatniego opata trzemeskiego, Markowskiego, zmarłego w r. 1852, po którego zgonie ustali tutaj kononicy regularni, a kościół trzemeski zamieniono w probostwo. Pierwszym po kanonikach plebanem jest teraźniejszy ksiądz świecki,

dziekan Tyc, który nas gościnnie przyjął w Trzemesznie i udzielił wiadomości o pierwiastkowym stanie tego miejsca.

Skarbiec kościelny tutejszy zawiera prawdziwe skarby. Są tu dwa kielichy, podarowane przez Dąbrówkę, kielich św. Wojciecha, relikwjarz srebrny św. Eufemji — wszystko drogie, licząc na kruszec, droższe dla wspomnień, przywiązanych do tych świętości, a noszące niewątpliwe cechy swego czasu. Wprawdzie wiecznej pamięci Edward hr. Raczyński we „Wspomnieniach Wielkopolski" rzucił cień na ich autentyczność, ale późniejsze badania jej dowiodły, a uczony Aleksander hr. Przezdziecki we „Wzorach sztuki średniowiecznej" dał wierny ich obraz.

Uprzejmy ks. dziekan Tyc pokazał nam oryginalne przywileje kanoników trzemeskich, ukazał szczątki biblioteki, opowiedział parę legend miejscowych, między innemi podanie, zapisane w aktach klasztornych, o znanym kronikarzu kościelnym Damalewiczu, który, będąc kanonikiem

regularnym, tutaj, a potem we Wrocławiu, wichrzył prowincję i umarł, nielubiony od zakonników.

Zwiedziliśmy szkołę, pustą w obecnej chwili z powodu ferji, ale liczącą pięciuset do sześciuset uczniów. Mury gimnazjum tutejszego, w opłakanym stanie będące (na których miejsce nowy gmach się wznosi obecnie), mieszczą kaplicę studencką. W ołtarzu tej szczupłej kaplicy jest obraz, szacowny swą oryginalnością. Pod Matką Boską klęczy opat Kosmowski, fundator konwiktu, doprowadzający małych pauprów do przysięgi, że się będą ćwiczyć w naukach i cnotach. Ubiór alumnów przepisał ks. opat; są to fioletowe żupaniki z karmazynowemi wyłogami, ubiór charakterystyczny i malowniczy.

Po Mieczysławie i Dąbrówce, opat Kosmowski jest wszystkiem dla Trzemeszna. On dźwignął z ruin mury kościoła, on tu fundował zakład na 12 alumnów, z którego wzięła swój początek szkoła trzemeska. Sejm z r. 1775 potwier-

dził jego instytucję z szerszym rozwojem, Stanisław August został drugim tego miejsca dobroczyńcą. Papież Pius VI chętnej udzielił sankcji temu zakładowi, a rząd pruski dekretem, w r. 1794 wydanym, uznał tę instytucję za nietykalną.

Zaszedłem do szkoły, usiadłem w ławce klasy IV. Ze łzą w oku przypomniałem moje szkolne czasy; ze czcią dotykałem się staroświeckich, zbutwiałych ławek, na których — jak wiadomo — brał pierwsze nauki Jędrzej Śniadecki, urodzony w Żninie, w Wielkopolsce.

X.

STRZELNO. — KRUSZWICA.

Wedle obranego planu, zboczywszy nieco dla widzenia miasta Mogiły, przez Kwieciszew, stanęliśmy na nocleg w Strzelnie. Jadąc rzemiennym dyszlem, nie mieliśmy potrzeby troszczyć się ani o czas, ani o kierunek drogi.

Padał wieczór, kropił deszczyk. Wesoło powitaliśmy okiem starą wieżycę kościoła w Strzelnie.

W „Starożytnej Polsce“ Balińskiego i Lipińskiego Strzelno jest opisane krótko i niedokładnie. W przelotnem naszem zwiedzeniu mogliśmy obejrzeć ciekawsze szczegóły w obu kościołach tego miasta.

Pierwszy z nich, pod tytułem św.

Prokopa, dziś opuszczony, słusznie uważać się może za jeden z najstarożytniejszych w Polsce. „Starożytna Polska" twierdzi, że tutejszy klasztor norbertanów fundował sławny Piotr Dunin. Być może, że zbudował kościół, ale samej fundacji, na kilku ogromnych wsiach, dopełnił Aleksander książę kujawski, około r. 1124. Norbertanie mieli tu ogromny klasztor. Zakonnice, których tu bywało po kilkadziesiąt, były fundowane przez Kazimierza książęcia kujawskiego w r. 1252. Obu tych fundatorów portrety, dobrze zachowane, znajdują się w plebanji.

Zwiedziliśmy naprzód stary, z ciosowego kamienia kościół św. Prokopa, duninowskiej może fundacji. Zniszczony przez francuzów w r. 1808, już odtąd jest opuszczony. Wspaniała rotunda w stylu romańskim, utrzymująca się na kamiennych żebrach, należy do najrzadszych budowli w Europie. Zdobią ją freski, późniejsze bez wątpienia, ale zawsze nader głębokiej

starożytności. Dzisiaj w tym poważnym kościele jest śpichrz ks. dziekana.

Nad wejściem do starego kościoła i dawnego klasztoru są staroświeckie płaskorzeźby z piaskowca. Jedna z nich wyobraża ukrzyżowanie, druga — Chrystusa siedzącego na majestacie, a po dwu jego stronach dwie klęczące postaci: fundator w stroju rycerskim, trzymający model kościoła, i mniszka z księgą reguły.

Taką samą płaskorzeźbę widzimy przy wejściu do nowego kościoła.

Nowy kościół, pod wezwaniem św. Trójcy, sięga również piastowskich czasów. Podług akt kościelnych, ma tu spoczywać żona fundatora, Kazimierza księcia kujawskiego, zmarła w r. 1231. Zewnętrze kościoła jest wspaniałe, pomimo odnowień, które zwykle psują urok starożytności.

Przed kościołem są dwa kamienie, o które miał zawadzić i tu odpoczywać św. Wojciech, jadący z Uniejowa do Gniezna. Wiara ludu uważa te kamienie za

cudowne, szczepa z nich okruchy i uważa je za pomocne w chorobach.

Po wejściu do kościoła, zadziwia gotyckie sklepienie kaplicy, oparte na jednym, ciężkim, zdobionym we floresy filarze. Sam kościół zdumiewa swoim majestatem. Ołtarze ulegały przerobieniu, obrazy są późniejsze i dosyć liche. Wyjątek stanowi mały, na czarnym marmurze, mistrzowski obrazek w bocznym ołtarzu, wystawiający męczeństwo św. Doroty.

Dla zmroku nie mogliśmy obejrzeć wielu nagrobków opatów tutejszych i innych ozdób marmurowych kościoła.

Norbertanie trwali tu do r. 1631, poczem zostały tu same zakonnice pod zwierzchnością proboszczów, którzy w wieku XVIII byli infułatami. Opatów, a później proboszczów, od r. 1631 do 1848, najduje się zupełny katalog. Nie spotkaliśmy tam ani jednego, bardziej historycznego nazwiska.

Znajduje się na poddaszu kościelnem dosyć liczna z dzieł ascetycznych biblioteka

po zakonnicach, będąca w straszliwym nieporządku, oraz skarbiec, zawierający mnóstwo bogatych i kunsztownie szytych ornatów i antepedjów. Są to dzieła, dokonane niegdyś rękami zakonnic tutejszych.

Obok probostwa mieszka tu jeszcze szanowna matrona, ostatnia norbertanka. Czeka zgonu, jak żywy świadek przeszłych czasów. Trumną swoją zakończy szereg siostr, które tu od lat sześciuset żyły w modlitwie i cichej pracy.

Przed kościołem znajduje się ładny pomnik z napisem:

D. O. M.
SIMEON KOŁUDZKI
Cancell. Gnesnen. Custos. Plocensis.
Can. Cracov. Vladislavien S. R. M. Secret.
H. O. E. ff. Anno Dni MDCXXXV.

Dziekan i proboszcz miejscowy, który nas łaskawie sam po kościele i jego skarbcu oprowadzał, zaprosił do plebanji i z tą uprzejmością, jaka jest cechą wielkopolskiego duchowieństwa, pokazał nam akta

kościelne, obrazy Piastów, będące u niego w domu, a uczęstowawszy gościnnem sercem, najuprzejmiej pożegnał.

Spóźniona pora kazała nam pomyśleć o noclegu. Strzelno, lubo małe miasteczko, jak większa część miast wielkopolskich, dobrze zabudowane, posiada murowane domy, sklepy, hotele. W jednym z takich hotelów, nazwiskiem: „London", znaleźliśmy dobrą wieczerzę i wygodny nocleg.

O godz. 7-ej nazajutrz byliśmy już w podróży. Mamy ujechać parę lekkich mil do Kruszwicy. Jedziemy na wschodnią północ.

Od Strzelna poczynają się Kujawy, najżyźniejsza w Polsce okolica, wydająca bajeczne niemal, bo do dwudziestu ziarn liczące, plony. Łany jednak, zasiane pszenicą, wydawały się na oko dosyć mizernie, bo tegoroczny upał pożółcił zboża przed czasem, zatamował ich wzrost, wysuszył w kłosach niedoszłe ziarna tak, że i na błogosławionym czarnoziemie Kujaw nie spodziewają się dobrego plonu.

Większa część dominjów tutejszych należy do niemców. Przemyślni cywilizatorowie tutejszej ziemi umieli obrać najlepszą jej cząstkę. Szlachta tutejsza, to złemi czasami, to własną niebacznością dała się wywłaszczyć z posiadłości swych ojców. Baczniejszy, pracowitszy i, co za tem idzie, zamożniejszy kmiotek, po większej części przyszedłszy do dziedzictwa gruntu, nieraz gospodarzy na 200 lub 300 morgach, a posiadając po kilka tysięcy talarów, żartuje sobie z usiłowań niemieckich, pewny, że się utrzyma na swym rodzinnym zagonie.

Z za wzgórza ukazała się wieża... To Kruszwica!

Kruszwica należy dziś do niemca. Na gruzach może chaty piastowej pobudował sobie pałac niejaki p. Heine. Na materjały do pałacu czy owczarni brał cegłę z Myszej wieży, chcąc, aby w gruzy runął stary pomnik tutejszej przeszłości. Ale rząd pruski zgromił zbyt zabiegłego gospodarza, a król panujący (Fryderyk Wilhelm IV) własnym kosztem rozkazał naprawić uszko-

Kolegjata w Kruszwicy w r. 1860.

dzone mury, wydając rozporządzenie, aby nikt nie zabierał cegieł i nie kopał ziemi na Myszej wieży w Kruszwicy.

Widok się odsłonił. Sine Gopło rozwinęło się na wiele mil po prawej i lewej naszej ręce. Kolosalna wieża na jeziorze, t. zw. Mysza wieża, nieodłączna od wspomnienia Popiela, piętrzy się pod obłoki... Widnieje dosyć szczupłe miasteczko i kopuła ostro kończasta kościoła.

To Kruszwica! Odkryjmy głowy! Jesteśmy na klasycznym gruncie Piasta kołodzieja; jesteśmy nad kolebką narodu, który w ciągu następnych dziesięciu wieków zdołał przejść wszystkie fazy historyczne, przez jakie Bóg przeprowadza społeczność; który w złem i dobrem został nauką innym narodom; który, począwszy od sycenia miodu, wypijał nieraz kielich żółci z octem, a na starych swoich zabytkach widząc przeszłą wielkość, wydziwić się nie może, jak z niej przeszedł do obecnej bierności.

Odkryjmy głowy! Krzepko jeszcze

Mysza wieża nad Gopłem r. 1860.

stoi Mysza wieża na Gople; krzyż nad świątynią kruszwicką jasno jeszcze połyska; na widok Gopła i Kruszwicy łzy jeszcze potrafią cisnąć się nam do oczu...

Ale te łzy niech nie będą zatrute goryczą — to tylko kolebka, to jeszcze nie grób przeszłości! Wszak po tej ziemi aniołowie szli do Piasta w gościnę... Anioł pobłogosławił kolebkę, anioł jadł nasz chleb, pokosztował naszego miodu... Anioł choć modlitwą wypłaci się za lechicką gościnność...

SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa Wł. Korotyńskiego	VII
List Wł. Syrokomli do Al. Niewiarowskiego .	1
Podróż swojaka	
Słówko przedwstępne	7
I. Droga z Wilna do Kowna.	11
II. Pożegnanie Kowna i Niemna. — Różnica między Koroną a Litwą	20
III. Podróż koleją żelazną.—Wjazd do Poznania. — Bazar. — Teatr	28
IV. Objezierze. — Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu	47
V. Pożegnanie ze stolarzem. — Wyjazd z Poznania. — Karol Karśnicki. — Swarzędź. — Kostrzyn.—Giecz. — Górzno.—„Boguwola“.	57
VI. Winnogóra. — Pamięć o jenerale Dąbrowskim. — Miłosław	75
VII. Sroda i jej zabytki	90
VIII. Grób Dąbrowskiego.—Wyprawa ku Gnieznu	102
IX. Gniezno — Trzemeszno	110
X. Strzelno. — Kruszwica	122

SPIS ILUSTRACJI

	Str.
Ludwik Kondratowicz (z podobizną podpisu)	V
Zwaliska zamku w Kownie	19
Ratusz w Poznaniu	37
Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu	43
Bazar w Poznaniu	53
Karol Karśnicki	58
Grodzisko pod Gieczem	69
Seweryn hr. Mielżyński	76
Kościół w Miłosławiu	88
Kolegjata w Środzie	96
Jen. Henryk Dąbrowski	103
Katedra w Gnieźnie	111
Kolegjata w Kruszwicy	130
Mysza wieża nad Gopłem	132